



N^o 394



|| EX LIBRIS ||
STEFANA DZIEWULSKIEGO

I. ~~484~~ v

PODRÓŻ
PO WARSZAWIE.

OPERETKA KOMICZNA W 7-miu OBRAZACH.

Libretto oryginalnie napisano

PRZEZ

Feliksa Schobera.

Muzyka: Adolfa Sonnenfelda.

(Zastrzega się prawo własności autorskiej w obec wszystkich scen krajowych i zagranicznych.)

WARSZAWA.
W Drukarni Stanisława Burzyńskiego,
ulica Miodowa Nr 1.

—
1878.

821.162.1



№ 723

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 10 Августа 1878 года.

I. 469



2

к. 106/116

В808PK/030-11

O S O B Y :

Pan Barnaba Fafuła, obywatel wiejski.

Kunegunda, jego żona.

Kizia)
Kocia) ich córki.

Mademoiselle Chiffon, guwernantka.

Marysia, dziewczyna wiejska.

Pafcio)
Gapcio) młodzi dzierżawcy.

Grześ, chłopak wiejski do usług.

Szmul, faktor.

Jankiel, pachciarz.

Mosiek, karczmarz.

Józó Grojseszyk, kantorzysta.

Wilhelm, kupeczyk.

Edward, dependent.

Kazimierz, aptekarczyk.

Fifina.

Fiufiułka.

Frufrutka.

Miller, kolonista, ojciec Wilhelma.

Gotlieb, jego przyjaciel

Woźny w teatrze ogródkowym.

Jeden z widzów.

Lekarz dam.

Podupadły pan.

Emeryt.

Piwowar.

Matka

Podłotek

Stara panna

Piękna Helena

} Typy warszawskie.

1-szy)
2-gi) żyd muzykant.

1-szy)
2-gi) żyd sprzedający karmelki.

Panowie—Panie—Wekslarze—Kupcy—Emeryci—Kantorzycy—Szwaczki—Magazynierki—Artyści—Literaci—Przekupki—Lokaje—Szewcy—Kucharki—Strażacy—Pokojówki—Muzykanci—Katarzyniarze—Handlarze uliczni—Druciarze—Przewoźnicy—Pasażerowie—Słomiankarze—Piaskarze—

Węglarze—Wieśniacy—Wieśniaczki.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

- Y 8 0 2 0
- Obraz 1.* Na wsi.
- Obraz 2.* Na Dworcu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.
- Obraz 3.* Na Saskiej Kępie.
- Obraz 4.* W Dolinie Szwajcarskiej.
- Obraz 5.* W Teatryku ogródkowym.
- Obraz 6.* Na Starem-Mieście.
- Obraz 7.* Na balu w Tivoli.
-

OBRAZ 1^{-szy}.

Na Wsi.

Scena przedstawia dziedziniec przed dworkiem szlacheckim na wsi. W głębi sztachety z wrotami, z lewej widzów dworek z gankiem, z prawej zabudowania gospodarskie. Za wrotami widać powóz staroświecki.

Scena 1-sza.

**Chiffon, Kizia, Kocia, Marysia, Grześ,
Szum, Wieśniacy, Wieśniaczki.**

ŚPIEW.

Kizia, Kocia, Chiffon.

Ach cieszymy się, ach cieszymy się!

Opuścimy miejsca te,

Pojedziemy do Warszawy

Na uciechy i zabawy.

I po trudach chociaż raz

Przepędzimy mile czas.

Wszyscy (po śpiewie).

Kto jedzie? po co jedzie?

Szum.

Na co jedzie?

Marysia.

Jedziemy do Warszawy. Jedzie pan, jedzie pani, z panią jadą panienki, z panienkami jedzie panna Chiffon, a ze wszystkimi jadę i ja.

Grześ.

O la Boga Maryś! a ty tam po co? Wszak to ci śtak drogi! Trzydzieści mil z okładem. Ty tam przepadnies!

Marysia.

A to i cóż z tego? pseciez ja siedziałam w Warszawie przez dwa lata z dziedzicką sąsiedniej wsi woncas kiedy u niej służyłam i nic mi się złego nie stało.

Grześ.

A cóż ja zrobię bez ciebie? ja co 'cię tak siarczyście miłuję! a co ty zrobis bezemnie?

Marysia.

Ował a boć to w Warsiawie chłopców mało?

Chiffon.

Achl chłopcy, chłopcy, ja będę zrobić karjera! *Oh! mon coeur, mon coeur*, bije jak mlot.

Kizia.

Moje jak dwa.

Kocia.

Moje jak trzy.

Chiffon.

Tutaj na wieś każda *jeunne homme* jest glupia i nie zna się na serce i na ładna buzia.

Jankiel.

Ny! ale z przeproszeniem jaśnie panienki, ja trzymam tu pacht lat piętnaście i państwo nie jechali, a teraz po co państwo wszystkie w kupie jadą zu Warschau?

Kizia.

Mama tak chce.

Kocia.

Mama tak chce.

Marysia.

Pani tak chce.

Chiffon.

Madame tak chce, ty głupia człowiek od krowa.

Mosiek.

Ny, a pan?

Marysia.

Pan tak musi chcieć, jak pani chce.

Szumł.

Aj waj, biedny pan! On tam zostawi graby geld.

SPIEW.

Tutaj na wieś nawet żid
Jest to człowiek bardzo git,
Jak oszuka to tak źle,
Że wnet o tem każdy wie.

A w Warszawie ja tam buł,
Zysk ma każdy pół na pół,
Jak przyjedzie jaki fryc,
Że go zdarli nie wie nic.
Drą tam żydzi oj! oj! oj!
A drze więcej każdy goj!

Chór.

Drą tam żydzi oj! oj! oj!
A drze więcej każdy goj!

Grześ.

Tam w Warsiawie jak słyshałem.
Młodych dziewcząt ginie rój;
Na toż Maryś ukochałem,
By ją porwał jaki zbój.
Okrutecznie jestem struty,
Już nie ujrzę Maryś mej,

Bo Warsiawskie bałamuty
Marmuzelę zrobią z niej.

Chór.

Bo Warsiawskie bałamuty
Marmuzelę zrobią z niej.

Maryś.

Oj tak, tak, tak, będę miała
Drogie stroje, wielki ton,
I tak będę wyglądała
Jakby Marmuzel Chiffon.

Chór.

I tak będzie wyglądała
Jakby Marmuzeł Chiffon.

Marysia.

W kok cyrulik mnie ubierze,
Gębę natrę cem cerwonem,
Z wielką dumą na spacerze
Będę śmiecie mieść ogonem.

Chór.

Z wielką dumą na spacerze
Będzie śmiecie mieść ogonem.

Marysia.

Podkorkuję sobie pięty,
Napcham spódnic bo to szyk
I w turniurze mocno wzdętój
Będę kręcić się fik, fik.

Chór.

I w turniurze mocno wzdętój
Będzie kręcić się fik, fik.

Kizia i Kocia.

Hej Marysia dość śmiałości
Cóż tobie myślisz, hę?

Żeby w naszej obecności
 Wyśpiewywać głupstwa te?
 Będziesz nosić suknie swoje,
 Nie odbierzesz mody nam,
bis } Bo w Warszawie modne stroje
 Są dla takich jak my dam.

Chiffon.

Oui c'est vrais! oui c'est vrais!
 Nie wyśpiewuj głupstwa te,
 Mieć nie będziesz le bon ton,
 Jak ma Mademoiselle Chiffon.

Chór.

Mieć nie będziesz le bon ton,
 Jak ma marmuzel Chiffon.

Scena 2-ga.

Ciż, Kunegunda, Fafuła (*ukazują się na ganku*).

Kunegunda.

Hej! co to za wrzaski przed dworem? Cóż to,
 święto? czy co? a do roboty nicponie! No! krzy-
 knij na nich niedołęgo!

Fafuła (*do wieśniaków*).

Słyszycie, pani mi każe na was krzyknąć! Do ro-
 boty nicponie.

Grześ.

Zmykajmy, bo ze starą żartów nie ma.

Kunegunda.

No! jeszcze stoicie? ja wam tu dam!

(*Wszyscy rozbiegają się w różne strony*).

Scena 3-cia,

Kunegunda, Chiffon, Kizia, Kocia.

Chiffon potem **Fafuła.**

Madame jest zła! Mademoiselle Kizia i Kocia, je vous prie do lekcja! Il faut przed wyjazd do-kończyć słowo: aimer. J'aime — ja kocham.

Kizia i Kocia.

J'aime ja kocham — nous aimons — my kochamy.

Kunegunda (*z furją*).

Kto kocha? — kogo kochacie? Cóż to ich panna będziesz takich głupstw uczyła? A to mi guwer-nantka!

Chiffon.

Mais madame!...

Kunegunda.

Romanse jakieś (*do córek*). Może wam panowie Gapcio i Pafcio chodzą jeszcze po głowie? (*do Chiffon*) a panna jesteś pośredniczką tych miłostek? he?

Chiffon.

Mais...

Kunegunda.

(*do córek*). Powiedziałam wam raz; wyperswadujcie sobie panów Gapcia i Pafcia! To mężowie nie dla was! Dzierżawcy — wielkie mi figury! No! ani mrumru o tych dwóch hołyszach!

Kizia i Kocia.

Dobrze mamó.

Kizia.

Kogo nam każesz kochać tego będziemy kochały.

Kocia.

Tego będziemy kochały, kogo nam każesz kochać.

ŚPIEW

Kocia.

Ja słyshałam o tem trocha
 Że choć to jest złem,
 Żadna panna dziś nie kocha,
 Bo jej lepiej z tem.

Udać miłość to jest sztuka,
 Panny wiedzą to—
 I gdy która męża szuka,
 Umie udać ją,

A więc mamó mówię szczerze,
 Uczuć tłumiąc głos,
 Kogo mama mi wybierze,
 Z tym mój złączę los.

Chiffon.

Kiedy się pani gniewa, więc nie będziemy kochać. Je n'aime pas—ja nie kocham.

Kizia i Kocia.

Nous n'aimons pas—my nie kochamy.

Kunegunda.

To mi przynajmniej nauka, nie ma w niej nie moralności! No uczcie się, uczcie moje dzieci. (*Chiffon i panny odchodzą w głąb na darniową ławkę*).

Kunegunda.

Ale gdzież mój mąż się podział? Hej Barnaba! chodźże tul Chcę z tobą ostatecznie pomówić o naszej podróży do Warszawy.

Fafuła (*który wszedł podczas wołania*).

I owszem, ale bądź tak dobra kochana Kundziu i powiedz mi, po co my tam właściwie jedziemy?

Kunegunda

Cóż mówić z niedołągą! Powiedziałam ci już przecie, że każdy dziś robi poświęcenie dla postępu. Przez dwadzieścia lat siedzimy na wsi oddalonej o trzydzieści mil od Warszawy i nie wiemy co się tam dzieje. Trzeba poznać raz wreszcie i nabyć przedmioty służące do czynienia ulepszeń w gospodarstwie, o których piszą gazety, a które podobno sprowadza z zagranicy jakiś pan Lewita.

Fafuła.

Lewita!—przypominam sobie że gdzieś czytałam o nim.

Kunegunda.

Widzisz, wszędzie o nim piszą, a my tutaj siedzimy jak tabaka w rogu.

Fafuła.

Ależ Kundziu — przecież nasza wieś nie nazywa się Woli-Róg—tylko Woli-Ogon.

Kunegunda.

Nie bajałbyś od rzeczy! Lepiej słuchaj dalej. Drugim powodem, który nas zmusza do tej podróży są warszawskie zabawy i przyjemności, o których nie mamy najmniejszego wyobrażenia.

Fafuła.

Aha, tak! — te przyjemności muszą być bardzo przyjemne, a zabawy bardzo zabawne.

Kunegunda.

Zapewne.

Fafuła.

A wiesz co moja Kundusiu—skoro tak to i ja już nabieram do wyjazdu ochoty.

Kunegunda.

Ciesz się mnie to mocno, a zwłaszcza z tej przyczyny, że tu także idzie o szczęście naszych córek.

Fafuła.

Jakto o szczęście naszych córek? Przecież przyrzekliśmy ich ręce paonom Pafciowi i Gapciowi, dwom poczciwym braciom a naszym sąsiadom. Wszakże ślub ma się odbyć za dwa miesiące. Przecież nazywają mnie już papą.

Kunegunda.

Ani słowa o nich. Odmyśliłam się. Jakto? mamy córki nasze wydawać za dzierżawców? my dziedzice Wolego-Ogona! Zapominasz o naszej godności, o naszym rodzie. Ty Barnaba Fafuła herbu Nedorajda i ja Kunegunda z Sekutnickich herbu Złamana Miotła, primo voto Podbijalska, secundo voto Fafulina, mielibyśmy się zgodzić na taki mezaljans.

Fafuła.

Prawda, ja Fafuła herbu Nedorajda i ty Złamana Miotła Fafulina, mielibyśmy — niby tego... na taki mezaljans.

Kunegunda.

Otóż skoro zrozumiałaś całą niestosowność tego związku, powiem ci, że otrzymałam w tych dniach list od mojej kuzynki z Warszawy, w którym pisze mi najwyraźniej, że teraz w Warszawie mogą panny z jakim takim posagiem bardzo dobrze wyjść za mąż.

Fafuła.

A kiedy nasze córki nie mają żadnego posagu. Wszak wiesz!—brak gotówki, ciężkie czasy.

Kunegunda.

Mają czy nie mają, nikt nas o to pytać nie będzie. Można mówić że mają — a po ślubie zięciom pokazać figę. Czyż to będzie pierwszy taki wypadek?

Fafuła.

Wiesz Kundusiu, że ty jesteś bardzo mądra kobieta, coraz więcej zaczynam się o tem przekonywać.

Kunegunda.

Dziękuj za to niebu, bo gdybym była taka nieprzezorna jak ty, tobyśmy dawno już wylecieli z Wolego-Ogona.

Fafuła.

Więc kiedyż jedziemy?

Kunegunda.

A naturalnie dzisiaj, jak to już sama tobie i wszystkim oznajmiłam. Tylko pamiętaj, żebyś w Warszawie nie był niedołągą, żebyś miała w tobie pomoc — stań się raz nakoniec mężczyzną, bo nigdy nim nie byłeś.

Fafuła.

El — przesadzasz duszko, przesadzasz, a przecież.....

Kunegunda.

No, no, dużoby o tem dało się powiedzieć. A teraz idź do ludzi, wydaj potrzebne do wyjazdu rozkazy, ja pójdę dokończyć pakowania tłumoków. Za cztery godziny kolej odchodzi, trzeba się spieszyć. — Od nas do kolejki daleko, mile drogi, każ założyć powóz, który stoi tam dwójm. — Marcin nas podwiezie do stacji. *(wchodzi do ganek).*

Fafuła.

Idę—idę—i przyrzekam ci, że będę mężczyzną.
(*całuje żonę w rękę i odchodzi*).

Kunegunda.

Ale—ale, a czy też masz dosyć pieniędzy na podróż?

Fafuła.

Ba!—nie mam ani grosza. Wszakże wiesz że wczoraj zapłaciłem podatki i oddałem dług panu Sknerowskiemu, naszemu sąsiadowi.

Kunegunda.

A toż się spisałeś. Ruszaj mi zaraz do Jankła, sprzedaj kilka włók lasu, Mosiek może kupi żyto na pniu a Szmul faktor, niech jedzie z nami do Warszawy. W razie braku, on nam ułatwi jaką pożyczkę.

Fafuła.

Ależ moja duszko...

Kunegunda.

Trudno, trudno; gdy idzie o los córek, trzeba robić poświęcenia. Leć do żydów, a potem wydaj ludziom potrzebne do wyjazdu rozkazy.
(*Fafuła całuje żonę w rękę i odchodzi za dwór*
Kunegunda wchodzi do dworu).

Scena 4-ta.**Chiffon, Kocia i Kizia.****Chiffon.**

No powtórziny une fois encore. Już mali czas—niedługo będziemy jechać—il faut wiedzieć nauka. Nous n'aimons pas.

Kizia i Kocia.

Je n'aime pas—ja nie Kocham,—nous n'aimerons pas—my nie będziemy kochały.

(Pafcio i Gapcio weszli ze smutnemi minami, ubrani jednakowo i podobni do siebie, zatrzymawszy się patrzą czule na Kizię i Kocię. Pafcio ma list otwarty w ręku).

Pafcio *(wzdychając głośno).*

Ah!

Gapcio *(podobnież).*

Ah!

Kizia i Kocia.

A to co?

Chiffon.

Qu'est-ce que c'est? qu'est-ce que c'est?

Pafcio *(do Gapciu).*

Słyszysz one nie Kochają!

Gapcio.

Słyszę, nie Kochają.

Pafcio.

Trzeba się jednak upewnić, bo może być..

Gapcio.

A tak, tak, upewnijmy się.

Pafcio *(do Kizi).*

Ah pani!

Gapcio *(do Koci).*

Ah pani!

Chiffon.

Co za śmiałość. Dostali odkosz i encore zaczepiają mademoiselle Kizia i Kocia, a na moja ładna buzia żaden nie kce psigładać.

Pafcio (do Kizi).

Ach pani!

Gapcio (do Koci).

Pani ahl

Kizia i Kocia.

Czego pan chcesz?

Pafcio.

Więc to prawda, co mama pani do nas pisze? Zaraz przeczytam. (czyta) „Kizia i Kocia dzisiaj wyjeżdżają po mężów do Warszawy — zatem wybicie je sobie z głowy, bo już was nie kochają.“

Gapcio.

Słyszysz pan!

Kizia i Kocia.

Skoro mama tak pisze, to widać....

Pafcio i Gapcio.

Co widać?...

Kizia i Kocia.

Że panów nie kochamy.

Pafcio.

A przecież panie zapewnialiście nas o waszem przywiązaniu.

Gapcio.

Kochaliście nas.

Kizia i Kocia,

Bo mama tak chciała.

Pafcio i Gapcio.

A dzisiaj.....

Podróż po Warszawie.



Kizia i Kocia.

Mama tego nie chce.

Pafcio.

Ach!

Gapcio.

Ach!

Chiffon.

Mes messieurs, co to jest mówisz o miłość do młoda panienka? Madame się gniewa. (*n. s.*) Ja taka ładna, a oni mnie nie widzieć. Szekajcie, ja à Varsovie będę zrobić karjera.

Pafcio.

Więc panie nami gardzicie?

Gapcio.

Nie macie nad nami litości?

Kizia i Kocia.

Jeżeli mama zechce to będziemy miały.

Kunegunda (*za sceną w domu*).

Hej panny! pakować się! niedługo wyjeżdżamy!
Panno Chiffon! Kizia, Kocia—żywo!

Kizia, Kocia.

Mama woła.

Chiffon.

Allons! vite! Adieu messieurs! adieu! adieu ty
dwa plaksa!

(*Kizia, Kocia, i Chiffon wbiegają od dworu*).

Scena 5-ta.

Pafcio, Gapcio. później Fafuła,

Pafcio

Nawet nie pożegnały się z nami.

Gapcio.

Nie pożegnały.

Pafcio.

Więc już nie możemy się pobrać!

Gapcio.

A nie możemy.

Pafcio.

Nie kochają nas.

Gapcio.

Ani myślą.

Pafcio.

Powiedziały, że mama tak chce.

Gapcio.

Wyraźnie powiedziały.

Pafcio.

Ale nic nie mówiły o swoim i naszym przyszłym papie.

Gapcio.

Prawda, o papie nic nie mówiły.

Pafcio.

Może papa będzie chciał inaczej.

Gapcio.

Prawda, może on będzie chciał inaczej.

Pafcio.

Bo skoro już nam pozwolił nazywać się papą ..

Gapcio.

Naturalnie skoro pozwolił sobie papać.....

Fafuła (*ukazuje się w głębi*)

(*wołą w kulisy*).

Hej! cóż to? nie słuchacie? Wytoczyć powóz przed dwór i zakładać konie. Dalej, zwijać się, bo jak się pani do was weźmie, to będzie z wami krucha!

Pafcio.

A! otóż i papa!

Gapcio.

Otóż i on!

Fafuła (*idąc na przód sceny*).

Udało się! mam pieniądze. Jankiel kupił kawał lasu—Mosiek nabył żyto—za bezcen wprawdzie, ale trudno, trzeba robić poświęcenia dla córek i dla gospodarstwa.

Pafcio.

Papo!

Gapcio.

Panie papo!

Pafcio.

Niech papa co zrobi, żeby mama kazała nas kochać pannie Kizi i pannie Koci.

Fafuła.

A cóż ja zrobię? (*n. s.*) Biedne chłopcy! szkoda ich! tacy dobrzy gospodarze, tacy rozumni! sam kwiat wiejskiej młodzieży. E! ta moja żona cza-

sami jest głupia, — coraz więcej o tem się przekonuję! Oj! czy tylko nie usłyszała! — miałbym się zpyznać!

(Przez ten czas, ludzie wytaczają pojazd, zakładają konie, a z dworu wynoszą tłumoki).

Scena 6-ta.

Ciż i Marysia *(w głębi jest świadkiem rozmowy.)*

Pafcio i Gapcio.

Cóż pan na to!

Fafula.

ŚPIEW.

Moje chłopcy! moje chłopcy!
Na mnie swych nie chmurzcie lic,
Ja wszystkiemu jestem obcy
Więc wam nie poradzę nic.

Pafcio i Gapcio.

On nam nie poradzi nic.

Fafula.

By nie dostać w czub kartoflem,
Z tem do żony nie chcę iść,
Ah! bo siedzę pod pantoflem
I ze strachu drzę jak liść!

Pafcio i Gapcio.

On ze strachu drży jak liść!

Pafcio.

Ależ drogi panie papo,
Zdobądź się na trochę sił,

Gapcio.

Wszak nie jesteś takim gapą
Żebyś pod pantoflem był.

Fafuła.

Właśnie jestem.....

Kunegunda (za sceną).

Hej Barnaboli!
Gdzież tam siedzisz? chodźże tu!
Już czas jechać.

Fafuła (przerażony).

Aż mi słabo
(biegnie do dworu) Krzyczy!—Muszę biedz co tchu!

Pafcio i Gapcio.

Więc już nie mamy żadnej nadziei!
Kizia i Kocia nie dla nas nie!
Już wybierają się do kolei.

Marysia.

Ej! ej! panicze nie martwcie się!
Jeśli na rzeczy się poznacie
I mnie rubelków kilka dacie,
To wam na to sposób dam.
I tak wszystko przysposobię,
Że złapiecie oba—obie.

Pafcio i Gapcio.

Ty masz sposób?

Marysia.

Mam go, mam!

Pafcio.

Dam na wiano rubli sto.
Tylko próżno nie trać słów,
Prędzej mów.

Gapcio.

Prędzej mów!

Marysia.

Więc słuchajcie.

Pafcio i Gapcio.

No, co? co?

Marysia.

Żeby nie zasypiać sprawy
I na oku panny mieć,
Jedźcie z nami do Warszawy.

Pafcio.

Jedź mój bracie.

Gapcio.

I ty jedź!

Marysia.

Choć w Warsiawie mówiąc szczerze,
Gdzie jest dziwem ze wsi gość,
Nikt wam panien nie zabierze,
Bo tam mają gości dość.

Pafcio i Gapcio.

Nikt nam panien nie zabierze
Bo tam mają gości dość.

Marysia.

Ale gdy na pośmiewisko
Te panniska wyjdą tam,

Wonczas oba bądźcie blisko,
A oddadzą ręce wam.

Pafcio i Gapcio.

Ale mama!

Marysia (*n. s.*).

Święci w niebie!
Toż z głupimi zawsze kram!
(*gł.*) Już ja biorę to na siebie,
Ze swe córki odda wam.

Pafcio i Gapcio.

Mama córki odda nam.

Marysia.

Oj! ja dobrze znam Warsiawę,
Próżny panów płac i krzyk,
Tam na panny tak niemrawe
Nie ma smaku chłopak szyk.

Pafcio i Gapcio.

Tam na panny tak niemrawe
Niema smaku chłopak szyk.
(*Marysia ucicka*).

Scena 7-ma,

Gapcio i Pafcio.

Pafcio.

A więc?

Gapcio.

A więc?

Pafcio.

Jedziemy.

Gapcio.

Jedziemy.

Pafcio.

Kiedy?

Gapcio.

Zaraz.

Pafcio.

Idzie o, to żeby się razem z nimi dostać do kolei i tam wsiąść w inny wagon.

Gapcio.

A tak w inny wagon.

Pafcio.

Trzeba tak zrobić naturalnie, żeby nas nie widzieli.

Gapcio.

Żeby nas nie widzieli!

Pafcio.

Ale czem pojedziemy do kolei?

Gapcio.

Do kolei—ja powiedziałbym ci.....

Pafcio.

No powiedz.

Gapcio.

Że nie wiem.

Pafcio.

A ja wiem.—Pojedziemy z tyłu ich pojazdu—nie zobaczą nas—bo to ogromna landara.

Gapcio.

I mnie się tak zdaje, że to ogromna landara.

Pafcio.

Nie zdaje się, ale tak jest.

Gapcio.

Tak jest.

Pafcio.

Ukryjmy się—bo pewno zaraz wsiadają.

Gapcio.

Dobrze, ukryjmy się,

Pafcio.

A potem?

Gapcio.

Co zrobimy potem?

Pafcio.

Potem i my wsiadamy.

Gapcio.

Wsiadamy.

Pafcio.

Gdzie?

Gapcio.

Do powozu.

Pafcio.

A tobyś się spisał! Z tyłu!

Gapcio.

Jabym wolał z przodu.

Pafcio.

Z tobą się trudno dogadać. Pójdź prędzej.

Gapcio.

Istotnie—trudno się ze mną dogadać! Pójdźmy prędzej!

(Ukrywają się w kulisach).

Scena 8-ma.

Fafuła, Kunegunda, Chiffon, Kizia, Kocia, Marysia, Szmul, Żydzi, Wieśniacy, potem Grześ, Pafcio i Gapcio. *Rodzina Fafułów w prze-*
(sładnem podróżnem ubraniu).

(Melodram).

Fafułowic z dworu wychodzą i pakują się do po-

wozu. Chiffon wynosi kotka, psa, wielką klatkę z kanarkiem. Marysia klatkę z papugą.

Kunegunda.

No dalej, prędzej, bo spóźnimy się na pociąg.
(wchodzi do powozu).

Fafuła.

A gdzie ja?

Kizia i Kocia.

Gdzie ja — gdzie ja?

Chiffon.

Gdzie ja?

Marysia.

Gdzie ja?

Kunegunda.

Ojciec przy mnie, Kizia i Kocia na kolanach u ojca, papuga i panna Chiffon z przodu, Marysia z kanarkiem na koźle pomiędzy Marcinem a Szmullem.

(Wszyscy wsiadają do powozu podług wypowiedzianego przez Kunegundę porządku.)

Fafuła.

Ciężko!

Kizia i Kocia.

Twardo!

Marysia.

Duszno!

Szum.

Ciasno!

Chiffon.

Pas bien!

(W powozie szmer i poruszenie, z po za kulis wychodzą Gącio i Pafcio).

Pafcio.

No, teraz!

Gapcio.

No, teraz!

(Siadają z tyłu powozu na łomokach jeden obok drugiego ze zwieszonymi nogami).

Grześ *(wbiega z łomokiem).*

Jaśnie pani! jaśnie pani! niech się pani zlituje i ja pojedę, bo mi będzie markotno bez państwa.

Kunegunda.

Pocziwy chłopak. Siadaj więc siadaj, może tam z tyłu znajdziesz miejsce.

Marysia.

A ty tu po co?

Grześ.

A widzisz Maryś, nie dam ci wykierować się na marmuzelę.

(Idzie w tył powozu. Gapcio i Pafcio zobaczywszy go, drgnęli z przerażenia).

Kunegunda.

Grześ! czegoż tak trzęsiesz powozem?

Pafcio *(do Grzesia).*

Cyt!

Gapcio.

Cyt!

Pafcio.

Dostaniesz na piwo, tylko cicho. Stań tu.

Gapcio.

Stań tu!

(Grześ staje pomiędzy nimi i pochylony opiera się rękami o tył powozu).

Knnegunda.

A teraz wio!

Wszyscy.

Wio!

Marcin *(strzela z bata i wola).*

Wio!

Jankiel.

Ny i ja już nieraz w takiej kupie jechałem na szabas.

(Melodram przechodzi w śpiew.)

Jankiel.

Mi państwa żegnamy!

Mosiek.

Niech zdrowie wam służy!

Chór.

Żegnamy, żegnamy

Szczęśliwej podróży!

Koniec obrazu pierwszego.

O B R A Z II^{gi}.

Na Dworcu Kolei.

Scena 1-sza.

Edward, Kazimierz, Wilhelm, Józio.

ŚPIEW.

Na banhofie przy kolei,
Gdzie zazwyczaj ruch jest duży,
Można wiele mieć nadziei,
Że przyjedzie ktoś z podróży.
I ten ktoś nie myśląc wiele,
Grzecznem słówkiem poruszony,
Kiedy pozna nasze cele,
Córki odda nam za żony.

(Ten śpiew śpiewają wszyscy).

Wilhelm.

Tak, powiadam wam, że dzisiaj wiek pozytywny,
Każdy młody człowiek powinien myśleć o tem, że-
by się bogato ożenić. O tak! mojem jedynem jest
staraniem, pozyskać stałą kundmankę.

Edward.

Ba! ale zkąd wzięść bogatej żony? Żadna war-
szawska posażna panna nie pójdzie za człowieka
który jest goły jak aplikant sądowy.

Wilhelm.

To też wiedząc o tem, a pragnąc żeby każdy z was zrobił karierę, namówilem was aby polować na gęsi wiejskie. Tego rodzaju polowanie najlepiej odbywać na dworcu kolei. Codziennie przybywa do Warszawy spory transport wiejskich posażnych panien. Idzie tylko o to, żeby każdy z nas umiał wziąć się do rzeczy, gdy coś odpowiedniego spostrzeże. Zablagować papę i mamę, ująć sobie pannę, oto pierwsza podstawa powodzenia. Na kolei najlepiej zawiązać znajomość.

Kazimierz.

! do milion kroć pigulek Cauvina! włączymy się już na dworcu od trzech dni i nie upolować nie możemy. A wreszcie przyznam się, że żał mi jeszcze kawalerskiej swobody. Małżeństwo dla młodego człowieka to strychnina, belladonna, kwas pruski!

Józ.

So— powiedział git. Swobode kawalerskie to interes! Ja mam wielkie przyjemność z panne Fifi, Fiufiutke. Ha! ha! to bardzo miłe dziewczęta.

Kazimierz.

Albo Frufrutka! ona jest tak słodka jak migdałowa emulsja.

Edward.

A Fajtłapka! Jej widok tem jest dla mnie, czem dla powoda przychylny wyrok.

Józ.

To pierwsze tancerki zimowych balów w Tivoli. Bardzo porządne dziewczęta, wszystkie panny z maszyną. Żadne żone porównać się z nimi nie może.

Wilhelm.

Ale handel! ale handel! Czy wy macie o tem wyobrażenie?—posag jest podstawą handlu.

Józ.

Ja pracuję w kassie bankiera Habgeld, to i bez posag mam podstawę.

Kazimierz.

Ja mam czas jeszcze zostać właścicielem apteki, a wreszcie córka pryncypała mile na mnie spogląda, mogę więc spokojnie używać młodości.

Edward.

Ja dobry robię handel z klientami adwokata u którego pracuję — ale mówiąc prawdę, bardzo byłbym rad żeby się bogato ożenić. Majątek — żona—ładny lokal—to powoduje zaufanie klientów.

Wilhelm.

Więc trzymaj ze mną. Czekajmy na świeży transport materiału na żony. Zaręczam ci, że zrobimy interes.

Józ.

Mi wam dopomożemy.

Kazimierz.

Chętnie.

Wilhelm.

Ale trzeba umieć zadać szyku.

Józ.

Ah! szyk, szyk, to moje ulubione właszcziwoszcz!

Edward.

Tak, tak! będziemy szykowni jak zawsze. Szyk jest doskonałą maską goliźny, głupstwa i błędów. Szyk zrósł się z warszawską młodzieżą. W tem

tylko największa sztuka, żeby nie dać się zdema-
skować. Ah! szyk!—szyk!—to bardzo dobry wy-
nalazek!

SPIEW.

I.

Chociaż bieda tego gniecie,
Każdy pan,
Każdy lubi dziś na świecie
Żyć nad stan.
Zaspakaja swoje gusta
Byle smyk,
Kieszeń próżna, głowa pusta
Ale szyk.

(Wszyscy powtarzają dwa ostatnie wiersze).

II.

Szlagon nie zna co to troski,
Albo wstyd,
Gdy za długi chce mu wioski
Zabrać żyd.
Lecz w szampanie moczy usta
Wabnych fryg;
Kieszeń próżna, głowa pusta
Ale szyk!

(Dwa wiersze bis wszyscy).

III.

Kupiec lezie, gdy mu skąpo,
Z długi w dług,
Lecz powozem z wielką pompą
Tłucze bruk.
Na hulanki złotem chlusta,
Wreszcie myk;

Kieszeń próżna, głowa pusta,
Ale szyk.

(Dwa ostatnie wiersze bis wszyscy).

IV.

Są panicze u nas tacy
W sferze mód,
Którzy zawsze z cudzej pracy
Koją głód.
Lecz za minę czczą ich usta
Różnych klik;
Brak honoru, głowa pusta
Ale szyk.

(Bis dwa wiersze wszyscy).

V.

Tu widzimy Ewy córę
Piękną—ach!
Co ma ogon i turniurę
Że aż strach!
Lecz pod spodem każda chusta
Wzbudzi krzyk;
Brak porządku—głowa pusta,
Ale szyk.

(Dwa wiersze ostatnie bis wszyscy).

VI.

I tak wszędzie świat nas mamy
Że aż pfe!
Fałszywemi pozorami
Kryjąc złe.
Lecz gdy prawda błysnie tłusta,
Pozór fik!

Śmiesz ludzkość blaga pusta
Niknie szyk.

(Dwa wiersze jak wyżej).

(Po śpiewie słychać gwizd lokomotywy, na scenie ruch, posługacze kolejowi i osoby oczekujące biegną z za kulis w szklanne drzwi w głębi. Pociąg staje za drzwiami przez które widać lokomotywę. Pasażerowie wysiadają).

Wilhelm.

Słyszycie, pociąg nadchodzi! może jadą nasze przyszłe żony.

Kazimierz,

Uwaga!

Edward.

Baczność!

Józ.

Już ja wam będę bogatej żony wyszukiwał! Ja mam bankierski nos.

Edward.

Patrzcie! patrzcie! jakiś szlagon z rodziną! Jego mina daje dobre wyobrażenie o kieszeni,—a co najważniejsza ów hreczkosiej ma dwie córki—bo te dwa młode kołki to pewnie córki.

Józ.

Tak—to córke!

Wilhelm.

Wybornie—już widzę moją firmę na pryncypalnej ulicy.

Kazimierz.

Ustąpmy się nieco—bądźmy grzeczni.

Scena 2-ga.

Ciż, Barnaba, Kunegunda, Kizia, Kocia, Chiffon (z kotkiem, pieskiem i klatką), **Marysia** (z klatką)

Barnaba.

A! stanęliśmy przecie na miejscu.

Kunegunda

Tylko powtarzam ci—bądźże tutaj mężczyzną i miej własne zdanie.

Barnaba.

Dobrze, będę miał zdanie.

Chiffon.

Ah! Varsovie! zaraz na pierwszy próg widzę ładna chłopca.

Kizia i Kocia.

Więc już jesteśmy w Warszawie?

Kunegunda.

A no, przecie nie w Ryczywole.

Barnaba.

Ale gdzie się teraz obrócimy, gdzie staniemy?

Wilhelm (zbliżając się).

Jeżeli pan dobrodziej pozwoli, my państwu we wszystkim dopomożemy.

Kazimierz.

Z całą przyjemnością.

Józ.

Z wielkim rozkoszem.

Kunegunda.

A któż panowie jesteście?

Kazimierz.

My szanowna pani dobrodziejko jesteśmy ludzie....

Barnaba.

No toż widzę, że nie barany, lecz niby tego, z jakiej racji...

Edward.

Chcemy państwu dopomódz? Przez poczucie miłości bliźniego i przez szacunek dla wiejskiego obywatelstwa. Wzięliśmy sobie za obowiązek informować pasażerów nieznaną Warszawy. To panie dobrodzieju miasto w którym zginąć można.

Barnaba.

E! tak powiadasz młodzieńcze? A to byłby ładny interes żeby naprzykład jak zginął.

Kizia i Kocia.

Papa!

Barnaba,

Albo mama!

Kizia i Kocia.

Mama! a co my byśmy robiły?

Wilhelm.

Mogłyby panie być zupełnie spokojne. Ogłosiłoby się nagrodę za znalezienie w dodatku „Kurjera“ i znalazca odprowadziłby papę i mamę do domu.

Kunegunda.

Barnabo! tym ludziom źle z oczów patrzy, może to jacy złodzieje—każ im się odczepić od nas.

Barnaba *(do młodzieży).*

Żona moja każe, żebyście się moi panowie odczepili od nas.

Wilhelm.

A to dla czego?

Barnaba.

Bo wam źle z oczu patrzy.

Kazimierz.

E! pani dobrodziejka nie zna się pewnie na ładnych oczach.

Edward.

Zwyczajnie siedząc na wsi...

Barnaba (*do żony*).

A może ty istotnie nie znasz się na miejskich oczach — mnie się zdaje, że to bardzo przyzwoici młodzieńcy.

Kizia i Kocia.

Ah mamó! oni mnie się bardzo podobają.

Chiffon.

Oui madame, oni są ładniejsze jak Pafcio i Gapcio (*n. s.*). Tak miło na mnie patrzą.

Marysia.

Grześ, — patrz ino, to warsiawiacy, widzisz jaki szyk — nie takie gamonie jak ty. Gdyby tak mnie który pokochał.

Grześ.

Maryś, ty mnie chcesz uśmiercić.

Marysia.

Nie ci nie będzie! Od miłości nikt jeszcze nie umarł.

Wilhelm.

Więc pani dobrodzika nie pozwoli nam zawołać dorożki?

Kazimierz.

Odwieźć się wraz z rodziną do porządnego hotelu?

Edward.

Pokazać sobie wszystkie osobliwości Warszawy?

Józó.

Zawieźć panienki na Saską Kępe, do teatryki — na Dolinę Szwajcarską, na bal w Tivoli?

Barnaba.

He! he! oni widzę doskonale znają Warszawę, ja bym chciał bliżej poznać się z nimi.

Kizia i Kocia.

I ja bym chciała.

Chiffon.

I ja bym chciała.

Marysia.

Oj! i ja także.

Kunegunda.

Ale ja nie chcę!

Wszyscy przyjezdni.

Mama

Ona

Madame

Pani

} tak nie chce.

Kunegunda.

Cóż to sobie myślicie, że pozwolę się za nos wodzić pierwszemu lepszemu którego spotkamy? Ja nie wiem kto są ci panowie, może jacy hołysze.

Kazimierz, Edward, Józó, Wilhelm.

Ah pani!

Kunegunda.

Jeżeli przyjechałam tutaj w celu wydania posażnych córek za męż...

Wszyscy młodzieńcy (*jeden do drugiego*).

Słyszysz?—posażnych!

Kunegunda.

Jeżeli odrzuciłam dwóch wiejskich konkurentów, to nie dla tego, żeby wpaść z deszczu pod rynną.

Barnaba.

A istotnie, pod rynną można by się zamoczyć.

Wilhelm.

Ależ pani dobredziejko, czy który z nas ma podejrzaną minę?

Kazimierz.

Wszakże jesteśmy wszyscy młodzi tutejsi obywatele, którzy...

Kunegunda.

Dość tego moi panowie, proszę nie nudzić i odcepić się od nas. (*do męża*). No, odezwijże się!

Barnaba.

Żona każe mi się odezwać moi panowie. Dość tego powiedziała, a kiedy ona mówi że dość, to dość — i basta.

Wszyscy młodzi.

Ależ...

Szmul (*wbiega z prawej strony*).

Ny, państwo tu rozmawiają, a tam trzeba odebrać rzeczy.

Kunegunda.

Ah! rzeczy, rzeczy, na śmierć zapomniałam!

Kizia i Kocia.

Rzeczy! rzeczy! nasze sukienki.

Chiffon.

Moje rzeczy! moje listy od różnych młodych chłopców.

Barnaba.

Biegnijmy! biegnijmy! Szmul! gdzież to?

Szmul.

Tutaj—tutaj!—prosto—potem na prawo, potem na lewo, a potem na prawo i trochę krzywo.—

Wszyscy (*wybiegają z krzykiem*).

Moje rzeczy,—gdzie rzeczy?

Chiffon.

Adieu moi ladna panowie! Ja jeszcze tu będę powrócić.

(Kiedy wszyscy wybiegli na prawo, Chiffon została na chwilę i składa zalotny ukłon młodzieży).

Wilhelm.

Adieu—adieu! czarująca istoto!

Wszyscy.

Adieu anielico!

(Po jej odejściu młodzież wybucha śmiechem).

Scena 3-cia.

Kazimierz, Edward, Józ, Wilhelm.

Ha ha! ha! ha!

Wilhelm.

A to pocieszny potwór. Przysięgam na mój honor bławatniczy, że to materiał wysortowany. Ale żart żartem! Trzeba myśleć o naszej przyszłości. Panny posażne! Wszakże mama wyraźnie powiedziała.

Kazimierz.

Jakże z niemi zawiązać bliższą znajomość, kiedy mama dała nam odprawę.

Edward.

Ale zauważyłem, że panny robiły do nas słodkie oczy. A i papa nie był dla nas także nie przychylny.

Wilhelm.

Jednakże co zrobić?

Józ.

Ja bim wam dał dobrą radę.

Wszyscy.

Jaką? jaką?

Józ.

Wykradnijcie panny!

Wilhelm.

A potem?

Józ.

Pokażecie im różne przyjemne miejsca w Warszawie, one was pokochają, później wynajdziecie papę, namówicie go do hulanki — powiecie mu że wstyd jest słuchacz żone, a on bez jej zgoda odda wam córki. Jak on to robi, to mamy lękając się dla córek kompromitacje przez wykradzenie, także będzie przystać na wszystko.

Wilhelm.

To wyborna myśl. Żeby powziąć taką sprytną myśl, trzeba być żydem.

Józ.

Nie gadaj tak głośno, po co kto ma wiedzieć że ja żyd. Ty jesteś syn szwaba kolonisty, a ja tego nie mówię. Szwab więcej jest chępczywy jak żyd.

Wilhelm.

No, no, nie gniewaj się. Nieznasz się na koleżeńskich komplementach czy co?

Edward.

Ale wracając do rzeczy, myśl Jóža bardzo mi się podobała, tylko widzę trudność w jej wykonaniu.

Wszyscy.

Jaką trudność? jaką trudność?

Edward.

Panny są pilnowane przez rodziców!

Kazimierz.

To mniejsza. Idź do biura ekspedycji i staraj się jakim fortelem odłączyć starych od córek.

Wilhelm.

Ale także jest przy nich guwernantka.

Kazimierz.

Guwernantka przyrzekła powrócić! już ja ją biorę na siebie.

Jóžo.

A ja będę bracz na szebe te wiejska dziewczyna. Una bardzo jest fein! Widzicie una zapomniała tu klatkę z kurą.

Wilhelm.

Nie z kurą—ale z papugą.

Jóžo.

No mniejsza z tem — niech mu będzie papuga. Ja sze nie znam na astronomje. Co masz bycz mój nauczyciel, idź lepiej i przyślij dziewczyna po klatkę. Już ja sze z nią pogodzę—a ty za to bogato pójdiesz za mąż.

Edward.

Ale jest tam pomiędzy niemi jakiś żyd i chłopak wiejski.

Józio.

I ani niech przyjdą. Ty im powiedz, że tu jest co więcej do zabrania, albo że w bufet jest zapłacone dla nich wódka. Ja z nimi pomówię, a wszystko będzie dobrze. Wiźyczo jaki ja git kolege! No dalej spieszycz sze!

Edward.

I ja biegnę także. Dla posagu warto popelnić szaleństwa.

Wilhelm.

Biegnę—biegnę—poczciwy Józio.

(Wilhelm i Edward odchodzą).

Scena 4-ta.

Kazimierz, Józio, Pafcio i Gapcio *(wchodzą).*

Kazimierz.

A to co za figury?

Pafcio.

To tu.

Gapcio.

Widać tu.

Pafcio.

Nie mogliśmy trafić.

Gapcio.

Ale gdzież oni?

Pafcio.

Czekaj—zapytam się tych panów.

Gapcio.

A istotnie, trzeba się zapytać.

Gapcio (*do Józka*).

Przepraszam, czy panowie nie widzieli pana Fafuły z żoną?

Józko.

Nie mam przyjemności znać tego państwo.

Gapcio.

To może panowie widzieli pannę Kizię i pannę Kocię?

Józko.

W Marzec ja często widzę koty.

Pafcio.

Ależ to nie koty, to córki państwa Fafułów z Wolego-Ogona.

Kazimierz.

Z Wolego Ogona?

Józko.

Z Woli ogon?

Gapcio.

W których my się kochamy.

Pafcio.

Przyjechały do Warszawy z rodzicami, z panną Szyffon guwernantką...

Gapcio.

Z Marysią, Grzesiem i ze Szmulem.

Kazimierz (*do Józka*).

Al to są zapewne ci dwaj konkurenci, o których mama wspomniała.

Józko.

Trzeba ich sze pozbicz. Panowie będą darować, że mam honor zapitacz, z kim mam szczęście rozmawiacz?

Pafcio.

Pafnucy Niemrawski, dzierżawca Jagnięcej Woli.

Gapcio.

A ja Gapeusz Niemrawski, także dzierżawca Jagnięcej Woli.

Józko.

Badzo mi przyjemnie. Co ja pana powiem. Ja widział pan Bibuła.

Pafcio.

Fafułę.

Gapcio.

Barnabę Fafułę.

Józko.

Tak, tak, Fafułę! Ja go widział jak on poszedł ze swoje żone i ze swoje dwa kotki tam daleko na platformę, zkąd kolej przychodzi. Niech panowie idą prosto przez platformę w stronę Żelazna ulica a pewno ich tam spotkają.

Pafcio i Gapcio.

Bardzo dziękujemy, bardzo dziękujemy. To tam na lewo?

Józko.

Tam, tam na lewo—prosto i potem krzywo.

Pascio i Gapeio.

Trafimy, trafimy, (*odchodzą*).

Kazimierz.

A to ich wykierował!

Scena 5-ta.

Ciż i Chiffon (*wchodzi*).

Józ.

Nadchodzi guwernantka, bierz się do dzieła!

Chiffon.

Ah—mam już moja walizka! Wracam żeby zobaczyć te ładne mężczyzna.

Kazimierz.

Pani.

Chiffon.

Co pan kce?—co pan kce?

Kazimierz.

Pani! wybacz! lecz już dłużej milczeć nie mogę. Od pierwszego ujrzenia pokochałem cię!

Chiffon.

Ah!

Kazimierz.

Czuję, że nie mógłbym żyć bez ciebie.

Chiffon.

Jakie szczęście!

Kazimierz.

Pójdź ze mną, pójdź aniele! Jestem tutejszy aptekarz; wykradam cię! uwożę do moich rodziców! jutro weźmiemy ślub za indultem i będziesz moja żoną.

Chiffon.

Żoną! oh! tyle lat ja tego kcialam, o ty mój kankanek! No! bądź ty mój złodziej, wykradaj mnie, bo mi się serce przewraca z miłości.

Kazimierz (*bierze ją pod rękę, idąc w kulisę na lewo, mówi*)

O! pójdz moja rozkoszy, pójdz czarująca jalapo!

Chiffon.

Idę, idę — ale nie kee jalapa. Ja mówiłam, że w Varsovie zrobię karjera.—(*wychodzą*).

Szumul i Grześ (*wchodzą*).

Szumul.

Ny gdzie bufet? Ja tam mam coś wypić.

Grześ.

I mnie kazali coś wypić.

Józo.

Tu nic dla was nie ma. Szumul!

Szumul (*poznając Józa*).

Wussy dues?

Józo.

Nie gadaj ty do mnie po żydowsku bo ja nie jestem żid. Słuchaj, znasz ty bankiera Habgeld?

Szumul.

Ny, ja o nim wiele slyszal, ja siedzialem w to miasto.

Józo.

I wiesz gdzie jego kantor?

Szumul.

Czemu ja by nie mial wiedziec? Un szachruje z pozyczka na rate.

Józio.

Chcesz ty odemnie grubo zarobicz?

Szumul.

Ny, ktoby nie chciał zarobić?

Józio.

Masz tu dwie dziesiątki. Jeden dla ciebie, a drugi dla tego chłop. Idźcie wy oba do bankiera Habgeld i powiedźcie jemu co pan Južo Grojse-szyk dla tego nie przyszedł do kantora w swój obowiązek, bo un jest bardzo chore.

Szumul.

To ja pójdę sam — po co ten chłop ma iść?

Grześ.

O! widzisz go, chce mi zabrać dziesiątkę.

Szumul (odchodzi).

Zostań ty — zostań — po co dwa? ty nie wiesz gdzie.

Grześ.

Toty mi pokazes. — I ja potrafię powiedzieć to samo co i ty! O widzicie go — nie obłupis mnie. (*wybiega ze Szumulem na lewo*).

Scena 6-ta.

Józio, później Marysia.

Ja wiedziałem że chłop pójdzie za dziesiątką. Pobiją się, wsadzą ich na cyrkuł, a mi będziemy zyskać na czasie. (*wchodzi Marysia*) Jeszcze wypadła usunąć ta dziewczyna.

Marysia.

Klatka, klatka, gdzie moja klatka?

Józio.

(*bierze klatkę i podaje ją z gracją Marysi.*)

Proszę moja kochana panienko.

Podróż po Warszawie.

Marysia.

Dziękuję panu, (*chce odejść*).

Józ.

Czego panienka sobie tak spieszy? Jabym cosz powiedział panience.

Marysia.

No to niech pan gada, tylko prędko, bo tam moje dwie panny same zostały.

Józ.

Same zostały? dla czego?

Marysia.

Bo pana i panią poprosił stróż do jakiejś kancelaryi, panna Chiffon gdzieś się zawieruszyła, a Szmul i Grześ gdzieś się zaprzepaścili.

Józ.

Pannom tam nic złego sze nie stanie. Jak ja panienco powiem cosz, to panienke nie będzie sze tak spieszcz.

Marysia.

No i cóż mi pan powie?

Józ.

To, że panienka bardzo mi sze podobała.

Marysia.

El niemoże być!—naprawdę?

Józ.

Jakto? nie naprawdę? Ja chce coły mnie panienka kochała.

Marysia.

Kochała? a kiedy pan żyd.

Józ.

Co to żid? co to żid! przecie nie prosty żid, ale cybulizowany. Teraz bardzo wystrojone damy

kochają się w żydach, bo żydy mają geld. Panne Fiufiutke, Fifine, Frufrutke, Fajtłapke, wsistkie panny z maszyną, przepadają za mną, a Julcze, Zosze, panny od piwa, już dawno przepadły.

Marysia.

No kiedy w panu tyle panien się kocha, czego pan chcesz odemnie?

Józ.

Ja nic nie chcę złego. Ja chcę tylko ubrać pannenkę w modne suknie jak ma Fajtłapka i jej koleżanke i chcę z panienką pójść na Saską Kępę, do teatrzyki, potem pójść do Tivoli na bal zimowy.

Marysia.

W lecie na zimowy bal?

Józ.

Co to szkodzi że w lecie? ja będę go umiszlnie zamówicz. Gospodarz jest dla mnie bardzo grzeczny, to mi zrobi bal jak się skończy pokazywanie sztuki przez pan Terenkoczy i Doroszyński. O tak ja mam pieniądze — co ja chcę to wsistko bicz musi. Ja zrobię panienka tyle przyjemnoszczów, że aż strach!

SPIEW.

Józ.

Niech już panna nicnie pyta,
Przyjemnoszczów będą wnet,
Modną suknię pan Lewita
Ślicznie włoży na jej grzbiet,
Będzie u niej ogon długi
I turniurę aż gwałt,
Co z niejednej dzisiaj sługi
Robi damę z piękny kształt.

W kapeluszu z wielkim kokiem
I ze szkiełkiem od pan Pik,
Będzie panna strzelać okiem
I zadawać wielki szyk.

Marysia.

Ja już dawno, dawno chciałam
Mieć syk miejski, stroić się,
Ale Grzesia pokochałam
I on też pokochał mnie.
Choć się z niego zawsze śmieję,
Choć go często palnę w cub,
Lecz miłością doń goreję
I z nim sybko chcę wziąć ślub.

Józio.

Ten chłop głupi nie ucze knie,
Będzie czas wiconacz plan,
Przecież to jest więcej pieknie
Kochać przed tem wielki pan.
A gdy panna wierność chowa,
Nie chce z Grzesia robić śmiech,
To zabawa kilkodniowa,
Nie jest przecie żaden grzech.

Marysia.

Tak! zabawa kilkodniowa
Nie jest przecie żaden grzech!

Józio.

Choć twe serce dla mnie tępe,
Będiesz ze mną w łódkę wleszcz
I na Saską pływać Kępe,
Gdzie będziemy raki jeszcz.
Przy nich zjemy szparag wielki,
Łykniem co za gruby grosz,
Potem kupię ci karmelki,
Co w żidoski siedzą kosz.

Muzykantów przyjdą z basem
Różne ładne arje gracz,
Będziem sobie husztacz czasem,
Lub się z karuzelem pchacz.

Marysia.

Oj! pobulać ja bym chciała
Póki służy młody wiek,
Gdybym tylko to wiedziała,
Że pan jesteś dobry cłek.
Choć siarcyscie się wystroję,
Chociaż będę jeść i pić,
Ale zawsze serce moje,
Do Grzegorza będzie bić.

Józó.

Niech twe serce bije sobie
Do starego nawet czart,
Ja czy złego nic nie zrobię,
Tylko bardzo słodki żart.
Panna serce swe zachowa,
Wśród rozrywki i wśród śmiech;
Wszak zabawa kilkodniowa
Nie jest przecie żaden grzech.

Marysia.

Toż zabawa kilkodniowa
Nie jest przecie żaden grzech.

Józó.

Wlize z tobą w teatrzyki
Patrzyć szkiełkiem z pański zyz—
I będziemy robić krzyki:
Brawo Trapszo! Teksel bis!
Potem Józó z tobą lata,
Twą pod pachę wzięwszy dłoń,
W „Podróż na około świata“,
Byś widziała wielki słoń.
A w Tivoli dobrodziko,

Gdzie przyjemnie w zimie żyć,
 Będziem śpiewać: kliko! kliko!
 I szampana sobie pić.

Marysia.

Zeby pańskim jaśnieć stanem
 I zabawy poznać te,
 Pójdę z panem, pójdę z panem,
 Bo mi się pohulać chce.
 Choć miłością Grzegorz płonie,
 Chociaż beczyć pójdzie w ką, t
 Co ma wisieć, nie utonie,
 A więc idźmy, idźmy ztąd.

Razem.

Co ma wisieć nie utonie,
 A więc idźmy, idźmy ztąd.

(odchodzą).

Marysia *(wraca się z głębi).*
 Gwałtu!

Józ.

Czego panna krzyczy?
 Tutaj hałas niechcialbim,

Marysia.

Dwóch paniczów na mnie liczy,
 Ja przyrzekłam pomoc im.
 Wielką rozpacz czują w łonie,
 Bo z miłością poszli w ką, t.

Józ.

Co ma wisieć, nie utonie.
 A więc idźmy, idźmy ztąd.

Razem.

Co ma wisieć, nie utonie,
 A więc idźmy, idźmy ztąd.

(odchodzą na lewo.)

Scena 7-ma.

Wilhelm, Edward, Kizia i Kocia. (*Wbiegają
obie z prawej, przerażone, za nimi obaj mężczyźni*),

Kizia.

Gdzie mama?

Kocia.

Gdzie papa?

Kizia.

Czekałyśmy tak długo.

Kocia.

Szukałyśmy wszędzie.

Kizia i Kocia.

I nie ma nigdzie.

Kizia (*placząc*).

Oj! oj! oj!—panno Chiffon.

Kocia (*również*).

Oj! oj! oj!—Marysiu!

Kizia.

Mamo!

Kocia.

Papo!

Wilhelm:

Ale niech się panie uspokoją, papa i mama udali się zapewne do hotelu.

Kizia i Kocia:

Bez nas?

Edward.

Może sądzili, że guwernantka nie mogąc się na nich doczekać, już pierwiej odwiozła panie do hotelu.

Kizia.

Ale nie może być.

Kocia.

Mamę z papą ktoś zawołał do kancelarji. (*placząc obie*)

Edward (*n. s.*)

To był mój fortel, dałem jakiemuś człowiekowi na piwo i kazałem starych doprowadzić w Jerozolimską aleję. Uwierzyli niedołągi, że ich wzywają do biura kolei.

Kizia i Kocia (*przez cały czas rozmowy Edwarda i Wilhelma biegają po scenie i wołają*).

Mamo! papo!—panno Chiffon! oj! oj! oj!—hi! hi! hi!

Wilhelm (*n. s.*)

Nie ma czasu do stracenia. (*gł.*) Nfecz panie nie płaczą i zechcą nam zaufać—odwieziemy panie do naszych matek, a potem zaczniemy szukać wszędzie papy i mamy. Jeżeli nasze poszukiwania na nic się nie zdadzą, ogłosimy w Kurjerze, że znalezione zostały dwie wiejskie panny, podamy imiona, wymienimy szczególne znaki, a rodzice sami do nas przyjdą po odbiór zguby.

Edward.

Wreszcie powiedzieliśmy paniom jak się nazywamy, kim jesteśmy.

Wilhelm.

I mamy dla nich wielkie współczucie. Niech więc panie pójdą z nami jak najspieszniej. Tutaj już nie ma co robić. Niedługo pociąg odchodzi, sala wypełnia się possażerami, a z tego to wyniknie, że my możemy paniom także poginać i zostanieie same.

Kizia i Kocia.

Same?!

Edward.

Gdybyście panie wyszły na ulicę, zabłądzicie, bo zdaje się, że nie znacie miasta.

Wilhelm.

Noc was zaskoczy.

Edward.

Zaczepi was kto.

Wilhelm.

I kto wie coby się stać mogło.

Kizia.

Drzę cała ze strachu.

Kocia.

Ja jeszcze więcej!

Edward.

Pójdźcie panie z nami!

Kizia.

A znajdziemy mamę?

Kocia.

I papę?

Wilhelm.

Niezawodnie.

Edward.

Z największą pewnością.

Kizia.

Więc idziemy z panami.

Kocia.

Idziemy.

Wilhelm.

Wygrana!

Edward.

Udało się!

(podają pannom ręce i szybko wychodzą).

Kizia i Kocia *(odchodząc).*

Mamo! papo! panno Chiffon! Marysiu!

Edward i Wilhelm *(odchodząc.)*

Cicho!—Tu krzyżeć nie można!

Scena 8-ma.

Wchodzą passażerowie.

*(Melodram).**(Na scenie ruch, posługacze i passażerowie przebiegają z pakunkami.)***Passażer 1.**

Prędko!

Konduktor.

Pociąg nie długo odchodzi.

Passażer 2.

Trzeba się spieszyć.

Passażer 3 *(do żony).*

Żono! kup bilet.

Żona.

Do której klasy?

Passażer 3.Do najtańszej. *(do posługacza).* Hej! mój panie, który najtańszy wagon?**Posługacz.**

Ten w którym jedzie bydło.

Passażer *(do żony).*

A to kup do tego wagonu, bo szkoda pieniędzy.

Passażerka 1 *(do otaczających).*

Kłaniajcie się cioci, ucałujcie mamę odemnie. Powtórzcie jej, niech się o mnie nie lęka, nie dam się uwieść. Porządna guwernantka wszędzie może być porządną guwernantką.

Passażer 2.

Pamiętaj Józiu, nie zdradź mnie w czasie mojej nieobecności w Warszawie.

Młody człowiek.

A ty ukochana kochanko siądź do damskiego przedziału i nie puść mnie w trąbę.

Passażer 4 (*gruby bankier*).

Pamiętaj pan Jakób — jak papiery spadną, zaraz mnie telegrafować.

Przemysłowiec.

Mój synu pilnujże dobrze mojej fabryki mydła. Bądź zdrow.

Syn.

Żegnam ojca.

Młody człowiek.

I ty dajesz nura z Warszawy?

Drugi młody człowiek.

Jadę do Filadelfii na Wystawę.

Inni passażerowie.

Adieu! do widzenia! Żegnamy! Bądźcie zdrowi! do prędkiego zobaczenia! Szczęśliwej podróży!

(Wszystkie osoby w poprzedniej scenie mówią prawie jednocześnie. Calowanie się i t. p. wielki ruch.)

Scena 9-ma,**Passażerowie, Fafuła i Kunegunda,**

(muzyka cecelująca niepokój.)

Kunegunda (*za sceną rozpaczliwie*).

Kizia! Kocia! nie ma ich! nie ma ich! gdzie moje córki?

Fafuła.

Panno Chiffon! Marysia! Grześ! Szmul! gdzie się u licha podzieli?

Kunegunda.

Moje córki! moje córki!

Fafuła.

Zginęły! zginęły! Masz przyjemności warszawskie!

Kunegunda.

Ktoś je wykradł! Kazano nam iść do biura kolei w aleje! To był widać podstęp. Tam nie ma żadnego biura. Zaszliśmy aż do rogatek. Na rogatkach śmiano się z nas! Oh! pocóż ja przyjeżdżałam do tej przekłętej Warszawy! (*bardzo głośno*)
Kizia! Kocia!

Fafuła (*z rozpaczą*).

Kocia! Kizia.

Passażerowie (*grupują się około nich*).

Co to takiego, co to takiego!

Jeden z passażerów.

Tym państwu zginęły dwa koty!

Kunegunda i Fafuła.

Kizia! Kocia! gdzie jesteście? Kocia! Kizia!

Passażer drugi.

Biedni ludzie! są pewnie bardzo przywiązani do swoich kotów. Trzeba im dopomóc w poszukiwaniu.

Inni passażerowie.

Szukajmy!

Fafuła i Kunegunda.

Kizia! Kocia! Kocia! Kizia!

Passażerowie (*biegną po scenie*).

Kizia! Kocia! kei! kei! kei! kei! kei!

Fafuła.

Nieszczęście! oni nasze córki biorą za koty!

(*Słychać dzwonek kolejowy*).

Passażerowie.

Dzwonek! czas wsiadać! Kizia! Kocia! kei! kei! kei!

(*W głębi ukazuje się Pafcio i Gafcio*).

Pafcio.

Nie ma ich! Nie ma Fafułów!

Gapcio.

Nie mogliśmy znaleźć. A tośmy się ładnie wy-
kierowali.

Kunegunda (*sposzrzegłszy obu*).

Co! i oni w Warszawie? Ah! to oni, to oni wykra-
dli nasze córki!

Pafcio (*sposzrzegłszy Fafułów*).

Papa!

Gapcio.

Mama!

Fafuła.

Gdzie Kizia i Kocia?

Kunegunda (*z furją*).

Gdzie Kocia i Kizia?

Pafcio i Gapcio.

My nie wiemy.

Kunegunda.

Nie napróżno przyjechaliście do Warszawy! Wy-
ście je wykradli.

Pafcio i Gapcio.

Myśmy wykradli?...

Kunegunda.

Mężu, trzeba aresztować tych panów i oddać
w ręce policji. Bierz ich! Patrz tam stoi policjant.
Bierz ich! i odprowadź do niego!

Fafuła.

Biorę ich! biorę! (*chwyta ich za kark*), i odpro-
wadzę! A niegodziwi sąsiedzi!

Gapcio i Pafcio.

Ależ panie! ależ papo! to nie ja, to nie my!

Kunegunda.

Do kozy! do kozy! niech powiedzą, gdzie Kizia
i Kocia!

Fafuła.

Nie opierać się! idźcie do kozy, a w kozie powiecie gdzie Kizia i Kocia.

Kunegunda.

Kizia! Kocia!

Pasażerowie.

Kocia! Kizia! kei! kei! kei! kei!

(Słysząc drugi dzwonek,—świst lokomotywy).

ŚPIEW.

Zwawo, zwawo, dajcie pyzia,
Bo już jechać trzeba mi;
Kizia, Kocia, Kocia! Kizia!
Kei, kei, kei, kei, kei! kei! kei!

(Pasażerowie żegnają się i biegną w głąb sceny. Fafuła z wysileniem prowadzi opierających się Pafcia i Gapcia na lewo).

Koniec obrazu drugiego.

OBRAZ III-ci.

Na Saskiej Kępie.

Scena przedstawia ogród jednej z kolonji na Saskiej Kępie. W głębi widać Wisłę. Z lewej strony w głębi kilka łódek z żaglami na których pomieszczone są nazwy: „Kurjer Warszawski“, „Kurjer Codzienny“, a na jednym wyobrażona jest Salamońska na koniu, a pod koniem jest wypisane jej nazwisko. Z prawej strony sceny z boku domek na nasypie, z lewej strony krzaki i drzewa. Po bokach sceny ławki i stoły. W środku w głębi karuzel czteroskrzydłowy, z lewej strony w głębi pod kulisami huśtawka.

Scena 1-sza.

(*Wilhelm, Edward, Kizia, Kocia, siedzą na froncie sceny z lewej strony. Miller i Gotlieb z prawej strony. W głębi z prawej Fifina, Frufrutka i kilku mężczyzn, z lewej w głębi Frufrutka także z mężczyznami. W głębi na środku siedzi towarzystwo złożone z kilku kobiet i mężczyzn w środku pomiędzy nimi buchający parą samowar. W pobliżu samowara rozłożona biała serweta na niej artykuły żywności. Wszyscy będący na scenie z wyjątkiem Kizi i Koci jedzą i piją. Miller*

i Gotlieb z długimi fajkami porcelanowymi w ustach piją piwo. Po scenie chodzi kilku żydów z karmelkami w koszyku. Potem muzykanci. Po scenie spacerują także strażaki z kucharkami).

Chór gości.

Saska Kępa ma roskosze,
Jakich nie ma świat wielki.

Żydzi z karmelkami.

Kupcie państwo, bardzo proszę,
Karmelki! karmelki!

Chór.

Mkną tu panny i panice,
Rój strażaków, kucharek,

Żydzi.

Bardzo słodkie mam słodycze
Z fabryk pana Kanarek.

Chór.

Gość tu także nie jest rzadki
Niemiec gruby i cienki.

Żydzi.

Mam z wanilią czekoladki
Dla przyjemne panienki.

Chór.

Szewe za buty wzięwszy grosze,
Suszy tutaj butelki

Żydzi.

Kupcie państwo, bardzo proszę,
Karmelki, karmelki!

(Wchodzi trzech żydów, jeden z małym kontrabasem, drugi ze skrzypcami, trzeci z klarynetem).

Muzykanci.

My szpiwkę zagramy
Dla szanownych goszczów,
By piękne te damy
Miały przyjemnośćów.

Chór.

Grajcie więc nie tracąc chwil.

Miler i Szule.

Szpil!

Kontrabasista *(do skrzypka).*

Josek szpill

Skrzypek *' (do flecisty).*

Icek szpill

Wszyscy trzej.

Szpil! szpil! szpil!

ŚPIEW.**Kontrabasista.**

Stała panna na drabinke,
Piękna niby kwiat,
I robiła czułą minkę
Do całego świat.

A w drabinkę panicz miły
Brzęknął złotem—więc
Pannę szyły opuszczily
I z drabinki bęc.

Powalala sobie z błotem
Swą zgubiła cześć—
I nie może już z powrotem
Na drabinkę wleźć.

Źle jest spadnąć, źle paninki,
Zawsze trzeba więc

Mocno trzymać się drabinki,
By nie zrobisz bęc.

Chór mężczyzn.

Brawo! brawo!

Muzykanci.

Szpiwka git!

Szwaczki.

Głupią żydzie śpiewasz rzecz!

Muzykanci.

Co dostanie za to żyd?

Wszyscy (*dając pieniądze*).

Masz, masz, masz — i ruszaj precz!

(*Żydzi kłaniając się odchodzą*).

Wilhelm (*do Kizi i Koci*).

A co? jakże się paniom podoba Saska Kępa?

Kizia.

Nam się niepodoba, my chcemy papy i mamy.

Kocia.

Pan powiedział, że tu znajdziemy papę i mamę.

Wilhelm.

Skoro tutaj ich nie ma, to znajdziemy ich gdzie-
indziej.

Edward.

Ale dla czegoż panie nic nie jedzą?

Kizia i Kocia.

Nie chcemy jeść.

Wilhelm.

Może mleczka?

Edward.

Może śmietany?

Kizia i Kocia.

Nie! nie!

Wilhelm.

Są tu także i kurczęta.

Edward.

Są i szparagi.

Wilhelm.

Hej! garson!

Edward.

Co tam macie?

Wilhelm.

Co panie pozwolą?

Kizia i Kocia (z płaczem).

My nie chcemy nic! nic! tylko papy i mamy!
(zbliżają się *Fifina* i *Fiufutka* — pierwsza
chwyta za rękę *Edwarda* a druga *Wilhelma*).

Fifina (do *Wilhelma*).

A niegodziwcze! to taka wierność?

Fiufutka.

Fruwasz tu z jakimiś dziewczętami, a o mnie zapominasz.

Wilhelm.

Ależ moja droga!

Edward.

Nie bądźże szalona.

Fifina.

A przyrzekłeś mi wieczną miłość.

Wilhelm.

No widzisz, to się tylko tak mówi.

Fiufutka.

A ty przysięgałeś, że mnie nigdy nie puścisz w trąbę.

Edward.

Ja cię też nie puściłem, gdyżbyś się w trąbę nie zmieściła.

Fifina.

Sledzimy was od dni kilku.

Fiuś lutka.

Mówiono nam, że się chcecie żenić!

Fifina.

A niegodziwcy!

Fiuś lutka.

A urwisy!

Fifina.

Ja ci tu dam!

Fiuś lutka.

Ja cię nauczę!

Kizia i Kocia.

Aj! aj! co to? co to? jakaś awantura? mamó papo, chcą się bić.

Wilhelm.

Ależ uspokójcie się panie! to nasze siostry opowiadają nam o pewnej awanturze.

Edward.

O awanturze, której były świadkami.

Kizia i Kozia.

Siostry?

Fiuś lutka.

Siostry?

Fiuś lutka.

My ich siostry! a to wyborne! przecież...

Wilhelm (do Fifiny).

Fifinko! Fificiu! jeżeli mnie choć cokolwiczek ko-

chasz, jeżeli nie chcesz żebym cię wysortował z mego serca, uspokój się.

Edward.

Fiufiutko! posłuchaj mnie.

Wilhelm.

Powiem ci szczerą prawdę. Chcę się żenić.

Edward (*do Fiufiutki*).

Ja także chcę się żenić.

Wilhelm.

Znalazłem pannę bogatą.

Edward.

I ja znalazłem także bogatą pannę.

Fifina.

A co? byłam pewna!

Finfintka.

Przeczuwałam, że to tak się skończy.

Wilhelm.

Ale nie krzycz przez litość. Słuchaj, daję ci słowo kupieckie, słowo wekslowe, że natychmiast po otrzymaniu posagu, ofiaruję ci w prezencie kilkaset rubelków. Zobowiązuję się do tego solidarnie.

Edward.

Ja poręczam! A nadto tobie Fiufiutko w ten sam sposób odpłacę się za moje niewinne przemieszczenie.

Fifina.

Co prawda, o kochanka łatwiej niż o pieniądze. A więc dobrze, zgadzam się na wszystko, żeń się.

Fiufiutka.

I ty możesz się zenić.

Fifina.

Ale pamiętaj o przyrzeczeniu.

Wilhelm.

Nie tylko że nie zapomnę, ale nadto po moim ślubie ciebie jedną kochać będę.

Edward (*do Fiufiutki*).

Ja także.

Fifina.

Przystaję i na to! Wasza miłość wówczas będzie nam przyjemniejszą, bo będziecie bogaci.

Kizia.

No idziemy czy nie idziemy?

Kocia.

Mnie się tu nudzi.

Wilhelm.

Za to w Szwajcarskiej Dolinie, dokąd zaraz się udamy, nie będziecie się panie nudziły.

Kizia i Kocia.

A znajdziemy tam papę i mamę?

Edward.

Pewnie, pewnie.

Kizia i Kocia.

Więc idźmy, więc idźmy.

Wilhelm.

Idźmy. (*wsiadają do łódki z wyjątkiem Wilusia*).

Miller.

Hej! Wiluś! szekaj! szekaj!

Wilhelm.

A! ojciec! Czego ojciec chce?

Miller.

Sluchaj ty osiol mój syn, ty jesteś kiep! Wizisz że twego ojca tu siedzi ze swój przyjaciel Gotlieb i ty z nim się nie przywitasz.

Wilhelm.!

Bo nie mam czasu.

Miler.

Ja uważał, że ty tu siedzisz, widzę ciebie od cała godzina. Ty chodzisz na Kępę z mloda ziewcząt, zamiast pilnować sklep swój pryncypal.

Wilhelm.

Kiedy ojciec nie wie o co chodzi, to niech ojciec nie gada.

Miller.

A czego ty nie rzucił ziewcząt i nie siadł przy twój ojciec i przy pan Gotlieb.

Wilhelm.

Bo już nieraz powiedziałem papie, że Niemców nie lubię.

Miller.

Sicho ty balwan! ty sam jesteś Niemiec przez twój ojciec.

Wilhelm.

Niemiec czy nie Niemiec, ale nie balwan. Dowodem tego jest ta okoliczność, że chcę się żenić z pewną panną.

Miller.

So? żenić się z pewna panna. A sórka mój przyjaciel pan Gotlieb co mówi? Ja przyrzekł jej ojciec, że ty z nią będziesz się żeniła. Ona ma drei tauzend thaler.

Wilhelm.

Ta, którą ja sobie wybrałem, ma pewno trzy razy tyle.

Miller.

Ona ma nein tauzend thaler. A to sehr gut. Ja będę przeprosić pan Gotlieb. Niech on wyda sórkę za swój parobek szwab, so dla niej ma miłość. I któż jest twoja paninka?

Wilhelm.

Córka ziemskiego obywatela.

Miler.

A to dobra rzecz. Znów weźmiemy w nasze ręce jeden majątek w ten kraj. Wizę co z ciebie dobry laandsmann.

Wilhelm.

Jeszcze lepsze będzie ojciec miał o mnie wyobrażenie jak powiem, że ją wykradłem. Patrz ojciec, siedzi tam w łódce.

Miller.

Ty ją wykradł?

Wilhelm.

Tak wykradłem ją, a nawet z jej siostrą.

Miler.

Z siostrą?

Wilhelm.

Rodzice ich czynią zapewne poszukiwania, kto

wie czy nie przybędą dzisiaj i na Kępę, może im kto powiódział, że tutaj jesteście. Wie ojciec co? W razie gdyby tutaj przyszli, niech ojciec nie tracąc czasu oświadczy im się w mojem imieniu o rękę Kizi, ich najstarszej córki.

Miller.

Oświadczyć się, a jak ja ich poznam?

Wwilhelm.

Mama wygląda jak wszystkie mamy z prowincji, a papa jest nizki, pękaty, ma staroświecki surdut, wąsy—i nos....

Miller.

Ma nos... no to już ja go będę poznać, niech on tylko tu będzie przyjść.

Wilhelm.

Ale niech ojciec stara się go tutaj jak najdłużej zatrzymać, bo zanim znajdzie swoje córki, one muszą się naprzód przyzwyczać do nas.

Miller.

Gut, gut.

Kizia. (z łódki).

No, jedźmy.

Kocia.

Panie, panie, prędko!

Edward.

Wilhelm chodź prędeż.

Wilhelm.

Idę, idę, żegnam ojca.

Miller.

Bądź zdrowa ty mój syn galgan! (*Wilhelm sia-*

da w łódkę, łódka z nimi odpływa) (do Gotlieba).
 Ja mu mówię co on galgan, ale ich weis, co on bar-
 dzo mądry mensch. On będzie zrobić nową zdo-
 bycz dla nasz Land.

Gotlib.

Das ist, sehr gut. Panna! zwei kufel bier!

Scena 2-ga.

Ciż, Józó i Marysia *modnie przystrojona.*

Chór.

Patrzcie, patrzcie tam kochani,
 Ktoś z dorożki zrobił skik,
 Przyjechała modna pani
 I kawaler wielki szyk.
 Idą tutaj, idą już,
 On na oku szkiełka ma,
 Ona suknią miecie kurz,
 Ha! ha! ha! ha! ha! ha!

*(Józó z Marysią wchodzą pod rękę z wielkim szy-
 kiem, Marysia modnie ubrana).*

SPIEW.

Marysia.

Byłam sługą, dziś się bawię,
 Strój na grzbiecie modny mam;
 Przez turniurę nikt w Warszawie
 Nie rozróżni sług od dam.

Chór:

Przez turniurę nikt w Warszawie
 Nie odróżni sług od dam.

Józó.

Niech świat pozna serce moje,
Z niej zrobiłem damę git,
Dziś dziewczynę w modne stroje
Może ubrać tylko żyd.

Chór.

Dziś dziewczynę w modne stroje
Może ubrać tylko żyd.

Marysia.

O służącą nikt nie stoi,
Co ma ubiór nie nad stan,
Ale sługi, co się stroi,
Jest dziś sługą wielki pan.

Chór.

Ale sługi co się stroi,
Jest dziś sługą wielki pan.

Józó.

Pan w kąć pójdzie z serca pikiem
Gdy jest goły że aż wstyd,
Za to każdą pannę z szykiem
Bardzo łatwo wzrusza żyd.

Chór.

Dzisiaj każdą pannę z szykiem
Bardzo łatwo wzrusza żyd.

Józó.

No, a teraz ja tu chcę zrobić wielki taniec z fortepianem i z orkiestrą, a kto chce tańczyć, musi sobie naprzód zaprezentować, pozwólcie więc państwu, że ja będę prezentował. (*przedstawia*) Ja jestem Józó Grojseszyk podbankier warszawski z kantor pożyczki na raty od pana Habgeld; a to panna Marysia moja wielka przyjaciółka, z którą

ja siebie chcę zabawicz. Ta pani—ja zgaduję—to kucharka od pana naczelnika—bardzo smaczne gotuje obiady—mówił mi o tem aplikant jej prympcy-pała. Ta panna, to młodsza od pani sędziny—bardzo czysto umie pokój zamieścić. Ten pan, to lokaj od jednego hrabiego bardzo zdolny człowiek—jego pan ma wibornie zawsze buty wiczyszczone; a ci dwaj panowie w święcących czapkach, to są kawalerowie ze sikawek od straży ogniowej—dobrzy przyjaciele warszawskich kucharek. Uni tę mają właszcziwoszcz, że w kominie gaszą ogień, a w kuchni robią ogień. Inne osoby to różne gatunek — nie mam przyjemnoszcz znać wszystkich osobiście, ale to nic nie szkodzi—i bez znajomości możemy tańczyć. (*patrząc w kulisę*). Co widzę! pan Bibuła!

Marysia (*przerażona*).

Gwałtu reta! mój pan!

Scena 3-ia.

Ciż, Fafuła.

Fafuła.

A! znalazłem tu ludzi. Moi państwo, nie widzieliście tu wypadkiem Kizi i Koci?

Jeden z gości.

Nie panie — tutejsza muzyka wystrasza ztąd wszystkie koty!

Fafuła.

E! ja nie o koty pytam, tylko o moje córki.

Marysia.

Oj! żeby tylko mnie nie poznał!

Fafuła (*spozrzeglwszy Józa*).

Ale co ja widzę? to pan! — jeden z tych, którzy na dworcu kolei chcieli mnie i mojej rodzinie ofiarować swoje usługi.

Józo.

A tak, to ja, Józo Grojseszyk.

Marysia.

Oj! oj! cała dygocę ze strachu, bo jak mój pan mnie pozna, to będzie dopiero heca!

Fafuła (*do stróża*).

Otóż wyobraź pan sobie, że kiedy rozstaliśmy się na kolei, wykradziono mi córki.

Wszyscy.

Córki?!

Marysia.

Co? panny zginęły?

Fafuła

Tak! z guwernantką, z Marysią służącą, z chłopcem do usług i z żydem faktorem.

Wszyscy.

Czy być może?

Fafuła.

Szukaliśmy po wszystkich kątach dworca, ani śladu! Moja żona jest przezorna niewiasta, więc wpadła na myśl, że złodziejami moich córek są dwaj nasi młodzi sąsiedzi, panowie Pafcio i Gapcio, którzy dostali odkosza i skrycie przed nami przy-

jechali do Warszawy. Naturalnie nie tracąc czasu, wsadziliśmy tych panów do kozy, gdzie muszą siedzieć dopóty, dopóki nie odnajdę mych córek.

Marysia.

Pan Pafcio i pan Gapcio siedzą w kozie, o la Boga! a ja im miałam dopomódz! Jednak jeszcze mogę im się przydać.

Józio.

A toś ich pan ładnie urządził.

Fafuła.

Musiałem panie dobrodzieju, musiałem. Tu przecież idzie o dwie niewinne dziewczęta. Żartować nie można, bo licho nie śpi.

Józio (*n. s.*)

To wielkie chwaty ten Wilhelm i Edward! Spisali sobie co się nazywał

Fafuła.

Oj ta Warszawa! ta Warszawa! Ja wcale nie miałem ochoty do niej jechać, jakbym przeczuwał że mnie spotka jakie nieszczęście. Ale ta moja żona, ta Kundzia, to taka uparta kobieta, aż się nie dobrze robi.

Józio.

Ale cóż się dalej stało?

Wszyscy.

Tak, tak, co się dalej stało?

Fafuła.

Gdy wsadziłem Pafcia i Gapcia do kozy—odwiozłem żonę ogromnie zmartwioną do Saskiego ho-

tełu, a sam wzięwszy przewodnika, poszedłem do Redakcji Kurjera. Siedziało tam kilku panów od pisania, ale co się którego chcę zapytać o Kizię i Kocię, wpada co chwila jakiś jegomość widocznie z tych co zbierają nowinki i woła: „Serbowie pobili Turków! Turcy zwyciężyli Serbów!—koń złamał nogę, ktoś tam w łeb sobie strzelił!—w teatrze występuje nowa aktorka i różne inne takie wieści.—Gdy już zniecierpliwiony do ostateczności, pięćdziesiąty piąty raz chciałem zapytać o moje córki, wpada jeszcze jeden jegomość i woła: pali się! Gwałtu! krzyknąłem—może pali się hotel, w którym stanąłem z żoną!—Bądź pan spokojny, ktoś się na to odezwał—jeżeli hotel, to przecież jest ubezpieczony!—Ale moja żona nieubezpieczona!—wrzasnąłem przerażony i co żywo wybiegłem z Redakcji, niczego nie dowiedziawszy się o moich córkach.

Józo.

No i cóż? hotel się palił?

Fafuła.

Na szczęście nie hotel, ale wróciwszy do hotelu poznałem z przestraczem, że mojej żonie pali się w głowie. Biegała po ciasnej izbie jak szalona, wołając: gdzie moje córki? a gdy chcąc ją pocieszyć powiedziałem jej, że w Redakcji nic się o córkach nie mogłem dowiedzieć, zwymyślała mnie przy numerowym od safandulów, niedołęgów i innych brzydkich wyrazów, a potem posławszy ogłoszenie do Kurjera, o zgubie córek, w którym znalazcy naznaczyła 5 rubli nagrody, rzekła do mnie: słuchaj stary głupcze, tak, przypominam sobie wyraźnie powiedziała stary głupcze. Otóż rzekła. Stary głupcze, weź nogi za pas,—biegaj po całej Warszawie a nawet i po zamiejskich okolicach, trąb, krzycz

płacz, wrzeszcz o stracie córek, a może tym sposobem wynajdziesz je prędzej. Ja ze zmartwienia jestem chora — zostanę w domu, ale jeżeli nie wrócisz za parę godzin, biegnę za tobą. Słyszając to, numerowy zwrócił naszą uwagę, że najpierw trzeba zacząć poszukiwania od Saskiej Kępy, bo tu najwięcej podobno zbiera się kawalerów, którzy bałamucają niewinne panny.

Józó (n. s.)

Mi wszędzie biwamy.

Fafuła.

Ale cóż mi z tego kiedy nie widzę moich córek.

Józó.

Bardzo mi jest nieprzyjemnie, że pan został zagrożony w taki zawód, ale niech pan będzie spokojny, może córki się znajdują.

Fafuła.

Jednak to dziwne! Od kilku chwil przyglądam się tej ustrojonej pani i zdaje mi się że to moja służąca Marysia.

(Obchodzi do kół Marysię kilkakrotnie. Marysia chcąc go uniknąć obraca się dokółta).

Marysia.

Oj! oj! oj! poznał mnie!

Józó.

Co pan gada? to wielka dama—to—to—moja kuzynka, ona przyjechała mnie odwiedzić aż od Chińczyków, gdzie jej mąż ma fabrykę herbaty.

Fafuła.

A wiem, wiem, to ztamtąd gdzie porcelana rośnie.

Józó.

Sol—gdzie porcelana rośnie.

Fafuła.

A to też pewnie dla tego wygląda jak porcelano-
wa lalka.—(*do Marysi*). Czy pani umie mówić?

Józ (*do Marysi*).

Nie odezwij sobie—bo cze pozna.

Fafuła.

No, czy pani umie mówić?

Józ.

A czy pan słyszał kiedy, żeby porcelana gadała.

Fafuła.

Prawda—chyba wtenczas narobi hałasu jak się
tłucze.

Marysia (*do Józ*).

Gwałtu! on mnie tłuc myśli?

Józ.

Uspokój sobie. (*do Fafuły*). Ona mówi tylko po
chińsku.

Fafuła.

Po chińsku. -- Gdybym miał czas napiłbym się
z nią herbaty, ale nie mogę, muszę wracać do żony.

Miller (*do Józ*).

Słuchaj pan Grojseszyk, wiesz kto ja jest?

Józ.

Jakto? jabym nie wiedział? Pan jesteś szwab,
kolonista, ojciec mój przyjaciel Wiluś.

Miller.

So — so! Mein Sohn mówila mnie co wikradł
bogata panna. Ja wizę, co ten pan, to jest ojciec
ta panna.

Józ.

So, to jest ojciec?

Podróż po Warszawie.

Miller.

Moja syna tu był i prosila co by ten ojciec długo tu zabawić, jak on tu przyjdzie.

Józ.

Tak?—a to dobrze!

Miller.

I prosila coby ja się mu oświarczał o córka Kizia dla niego.

Józ.

I to może być.—Ja będę was zapoznacz.

(do Fafuły). — Panie Fafuła, Ja' będę pana poznać z ten pan kolonista z za Wolskich rogatek, może on co powie o pańskie córki.

Fafuła.

E! — on wie?—a to poznawaj mnie z nim, poznawaj.

Józ.

Pozwólcie sobie panowie zaprezentowacz. Pan Miller, pruski landsman, ojciec swego syn i obywatel od kolonji, a to pan Bibuła.

Fafuła.

Fafuła.

Józ.

A tak, pan Fafuła dziedzic od Woli Ogon.

Fafuła *(podając rękę Millerowi).*

Jestem bardzo rad, że mam to szczęście.

Miller.

I ja jestem bardzo kontenta.

Fafuła.

Pan podobno coś wiesz o moich córkach?

Miller.

Ja nie wiem nic — ale mam jeden syn cywilizowany, który ma wielki stosunek w całe miasto. Jak ja jemu każe, to on wynajdzie pańskie córki, ale z ten warunek, że pan mu jedna odda za żonę.

Fafuła.

Co? bój się Boga człowieku! — ja mam wydawać córkę za Niemca?

Miller.

On nie jest Niemiec — on Niemcy wcale nie lubi. On jest kupiec od sklep z bławatem, a ja jego ojciec ma pięćdziesiąt tysięcy thaler.

Fafuła

Czy tak? — noto co innego! ale chciałbym wiedzieć kto pan jesteś, jakie masz stanowisko, z kąd pochodzisz, co robisz? bo ja tego pana nie mogłem dobrze zrozumieć.

Miller.

Ja to panu będzie zaraz powiedzieć.

Józó.

Wiecie co panowie! szkoda tracić czas. Mi tu wszyscy sobie będziemy tańczyli, a pan Miller niech w taniec opowiada.

Miller.

Sehr gut!

Wszyscy.

Tańcz pan! tańcz pan! Bądź pan spokojny o córki.

Józó (wola w otwarte okno domku).

Gracz tam! gracz pan muzykant, proszę trąbicz na fortepian.

(Stawają do tańca. Miller z Gottliebem, Fafuła z Marysią, Józó z kucharką, i cały chór.)

ŚPIEW.

Miller.

Landsman biedny, chudziutki
 Aber chciwy na złoto,
 Nach dieses Land malutki
 Psidreptalem piechotą.
 Hier spojrzawszy do kola,
 Myśl poczułem nad kolnirz.
 Że rozumny menség zdola
 Złapać prędko Geld polnisch.
 A że Deutscher powoli
 Jakoś sobie poczyną,
 Więc się wziąłem do roli
 U landsmana z Berlina.
 Żem mu sehr treu był sługą
 I zbierałem mamonę,
 Alzo wziąłem niedlugo
 Jego Tochter za żonę.
 Przestał leben mein stary
 I rzekl: rolę masz Justyn,
 Więc dziś licząc talary
 Ich sing lieber Augustyn.

Chór.

Meine lieber Augustyn
 Ach du lieber Augustyn!
 (*tamec*).

Miller.

Niedaleko od miasta
 Gott sein Dank jest chalupa,
 Wo kartofel wirasta
 Und kinderków mych kupa.
 Ich freue mich wciąż z zyski,
 Ich trink immer beirysza,
 Więc utyli mi piski,
 Nie mam miny holysza.

Klania mi się chłop głupi,
 Gdy wylizę z przypiecka,
 Za to że go oblupi
 Moja klofa niemiecka.
 Wenn pomnożę schon grosze,
 Wenn się lepiej podpasę,
 To się zaraz wynoszę
 Na Berlina Gross Strasse.
 I jak dumny graf jaki,
 Będzie śpiewał tam Justyn:
 Można zakpić z Polaki
 Meine lieber Augustyn.

Chór.

Meine lieber Augustyn
 Och! du lieber Augustyn.
 (*tańiec*).

Fafuła (*po tańcu*).

Dobrze, już wiem kto pan jesteś, a teraz ja ci
 odpowiem.—Hej oberek!

Józo.

Grać oberek pan Lewandowski od pana Twar-
 dowskiego.

(*Muzyka gra oberka*).

ŚPIEW.

Fafuła.

Graj no żydzie, graj no szparko,
 Nie ociągaj się,
 Moja córka berliniarką
 Oj! nie będzie, nie!
 Macie przecie swoje baby
 Wśród niemieckich stron,
 Do Berlina jedźcie draby
 Szukać sobie żon.

(*tańczą oberka*).—(*po tańcu*).

Mówią ludzie jawnie, skrycie,
 Mówią dalibóg,
 Że wy po to się żenicie,
 By nietrzymać sług.
 Który zdoła jak po mydle
 Serce polki zmóźdz,
 Myśli że to jego bydlę,
 Które może tłuc.
(taniec)

A więc panie kolonisto,
 Człeku tłustych lic,
 Odpowiadam ci na czysto:
 Nic z marjażu nic.
 Pohamujcie wasze żądze
 Do tutejszych dam,
 Gdy do niemiec już pieniądze
 Zabieracie nam!
(taniec).

Fafuła *(po tańcu).*

Tak, tak, mości dobrodzieju, pański syn żadnej z moich córek nie dostanie.

Miller *(trochę zły).*

Niech nie będzie dostać—mnie to wsistko jedno; ala ja ciekawa, jak się będą te córki znaleźć.

Józó.

Tak, on ma recht! une sze inaczej nie będą znajdowacz.

Fafuła.

Będę ich szukał po całej Warszawie.

Józó *(do Fafuły na str.)*

Niech pan glupstwa nie robi. Ja radzę jak dobry przyjaciel. Niech pan da córka—una i tak będzie dobrze procentować. Syn pana Miller jest

pocziwy ludź z porządkiem i ze stosunkiem, i on w jednej chwila panienki wiszuka. No, nie trzeba sze namiślacz.

Fafuła (na str.)

Licho wie co mam czynić! Ha! dobra myśl! Przyrzeknę rękę córki a potem... no a potem zobaczymy.—(gł). Panie kolonisto, namyśliłem się. Twój syn dostanie jedną z moich córek, jeżeli obie wynajdzie.

Miller.

Bardzo dobrze! on wynajdzie.

Józ.

Ja ręczę, że wynajdzie.

Marysia (na str.)

Oby tylko wynalazł—bo żal mi wielki panienek.

Fafuła.

A gdzie on jest?

Józ.

Un robi interesa po cała Warszawa, pojedźmy go szukać.

Gotlieb (cicho do Józ).

Ale ja ciebie powiadam, że ten stary trzeba tu długo zabawić, bo tak prosila mój syn.

Józ.

Bądź pan spokojny. Ja mam dobry sposób w moja głowa.

Fafuła.

Ale jakże pojedziemy? Ja wodą jechać nie lubię.

Józ.

Wiesz pan co? jest tu lepszy środek komunikacji.

Fafuła.

Jakiż to? jaki?

Józ.

Ten karuzel.

Fafuła.

Karuzel?—co to jest karuzel?

Józ.

Jest to taki instrument z koniami i ławkami. Un prędzej jeszcze jedże jak kolej żelazna. Jeśli kto co zgubi i na niego wsiądzie, to z pewnością do swoje zguba dojedzie. Un na to wynaleziony.

Fafuła.

Patrzcie państwo, jakie to dzisiaj są wynalazki! a ja tam na wsi o niczem nie wiedziałem. I powiadasz pan, że jak na tej maszynie pojedę, to wynajdę Kizię i Kocię?

Józ.

Bić może, że prosto do nich dojedziemy, a jak nie, to un nas będzie zawieść do syn pana Miller.

Wszyscy (*do siebie*).

A to go bierze na kawał!

Fafuła.

Więc siadajmy, siadajmy, nie traćmy czasu. Ja jadę na koniu.

Józ.

I ja także z koniem! A moja kuzynka z Chinami, będzie wsiąść na fotel.

Fafuła.

No panie kolonisto i pan siadaj na fotel.

Miller.

Gotlieb, zu wieder sehen.

Gotlieb.

Morgen! Panna ein kufel Bier! Oni się będą bawicz jak kleine Kinder.

(Siadają na karuzel).

Fafuta *(kłania się czapką).*

Bywajcie zdrowi, bywajcie zdrowi! szanowni panowie i panie.

Wszyscy.

Szczęśliwej podróży.

Osoby z karuzelu.

Dziękujemy, dziękujemy.

Józ.

No, pchaj karuzelarz! a ty muzykant szpil polka z pożegnaniem.

ŚPIEW.**Chór.**

Karuzelu kręć się kręć,
I z tą zgrają żwawo pędź,
 Kręć się kręć,
 Żwawo pędź,
 Kręć się kręć
 I jak wiatr pędź.

Oszalał stary ten,
Ileż mamy śmiesznych scen!
Wciąż w kółko kręcąc się,
Do córek trafić chce.
Wszystkich bawi podróż ta,
Ha! ha! ha! ha! ha!

Żwawo pędź, żwawo pędź, } *bis.*
Karuzelu kręć się kręć. } *1*

(do capo od początku aż do słów (jak wiatr pędź) potem idą te wiersze).

Karuzelu kręć się kręć,
 Karuzelu kręć się kręć,
 Ach! kręć się kręć.

(Wszyscy pod kulisami tańczą polkę. Na środek sceny wbiega Kunegunda i zobaczywszy męża, podnosi z przerażeniem ręce i woła w muzyce).

Kunegunda.

On się bawi! on się bawi!

(Bije parasolką Fafulę jadącego na karuzelu).

Fafuła *(na koniu).*

Jadę po córki, jadę po córki!

Koniec obrazu trzeciego,

OBRAZ IV^{-ty}.

W Dolinie Szwajcarskiej.

Scena przedstawia ogród Doliny, w głębi estrada dla orkiestry. Na estradzie orkiestra — przed estradą stoi kilka rzędów krzeseł — po za krzesłami małe okrągłe stoliki, przy stolikach krzesła. Garsoni kręcą się pomiędzy publicznością roznosząc napoje.

Scena 1-sza.

Orkiestra i Publiczność.

(przy jednym z bliższych stolików siedzi Wilhelm, Edward, Kizia, Kocia, przy innym stoliku siedzi bankier Habgeld z cygarem w ustach).

(Orkiestra gra walca Szraussa już przed podniesieniem kurtyny.

Kurtyna się podnosi.

Chór publiczności.

Mile walczyk w ucho płynie,
Mile niby w kieszeń geld;
Dźwięcz walczyku, dźwięcz z Dolinie,
Brawo, brawo, Sonnenfeld!
Tutaj bawiąc cię Warszawo,
Fliege, Bilse, zbiera geld,

Bilse, Fliege, brawo! brawo!
Brawo Sonnenfeld!

(orkiestra gra dalej walca).

Habgeld *(do Wilhelma).*

Przepraszam kochany pan, co oni grają?

Wilhelm.

Zdaje mi się, że to symfonia.

Habgeld.

A ja myślałem że to mazur Lewandowskiego. Już muszę powrócić do kantor, bo nie lubię symfonie. A potem ten Jóžo nie jest dzisiaj cały dzień w kantor.

(Przechadza się przez chwilę i wychodzi).

Gość.

Garson! Nie wiesz co potem będą grali?

Garson.

Potem cała muzyka ucieknie.

Gość.

Jakto ucieknie?

Garson.

A tak prosze pana, bo na karcie wyraźnie stoi, że będzie fuga.

Gość.

Istotnie, prawda. Dziękuję ci.

Drugi gość *(do innego).*

Powiedz mi, dla czego ta pani nosi tak wysoką turniurę?

Trzeci gość.

Dla tego że jest chuda.

Czwarty gość *(wskazując na Kizię i Kocię).*

Spójrz no na te dwie panny, jakie mają głupie miny.

Piąty gość.

Ach prawda! Widocznie ze wsi.

Czwarty gość.

Ale co one robią w Warszawie?—przecież jeszcze daleko do Ś-go Marcina.

Szósty gość.

Patrz, to ta mężatka, co zdradziła męża.

Siódmy gość.

Wierutne kłamstwo. Czy to się zdradą nazywa, jeśli kobieta pozwała się leczyć młodemu doktorowi.

Szósty gość.

A na cóż ją leczył?

Siódmy gość.

Na zbytek zdrowia.

Ósmy gość.

Garson, czy długo potrwa koncert?

Garson.

Jeszcze ma być symfonia z cantabile i z mordegnato.

Ósmy gość.

Symfonia z cantabile i z moderato.

Garson.

Tak z mordegnatą, a potem marynata.

Gość.

Aha! Mandolinata, rozumiem.

Garson.

Tak marynata.

(walc się kończy).

Chór *(kończąc walc śpiewa słowa znajdujące się na początku tego obrazu).*

Wilhelm (*wstając z Edwardem, Kizią i Kocią*)
A co? Jakże się paniom tu podobało?

Kizia.

Okropnie.

Kocia.

Czy jeszcze będą grali?

Edward.

Jeszcze parę numerów. Właśnie zaczynają.
(*orkiestra zaczyna grać jakiś utwór pianissimo-cantabile.*)

Kizia i Kocia:

Już grają! już grają!

Edward.

Bardzo nas to cieszy, że panie już się uspokoiły.

Wilhelm.

Przekonały się panie, że my jesteśmy dla nich bardzo życzliwi.

Edward.

Więcej niż papa i mama.

Kizia i Kocia.

Papa i mama.

Wilhelm.

A nawet ośmielę się powiedzieć, że bardzo jesteśmy do pań przywiązani.

Kizia.

A kiedy panowie nie macie sznurka.

Edward.

Pani nie chce rozumieć—jeżeli on mówi, żeśmy przywiązani, to znaczy że kochamy panie.

Kocia.

A to tak samo mówił nam pan Pafcio i pan Gapcio.

Wilhelm.

! ci panowie to nie Warszawiacy. Oni kochają po wiejsku—po warszawsku inaczej się kocha.

Edward.

Dzisiaj przygotowaliśmy dla pań pewną niespodziankę w Dolinie, a jutro pójdziemy na bal do Tivoli.

Wilhelm.

Który dla pań umyślnie zamówimy.

Kizia.

Och bal! Ach! ja nigdy nie byłam na balu.

Kocia.

Ja wzdycham tylko do tego, żeby potańczyć na balu.

Wilhelm.

Chęci pań spełnione zostaną, ale z jednym warunkiem.

Kizia.

Z warunkiem?

Wilhelm.

Tak—przedewszystkiem potrzeba, żebyście panie nas kochały.

Kizia.

A cóż to wielkiego — możemy panów kochać, przecież panowie nie jesteście strachy.

Kocia.

My już panów kochamy.

Wilhelm (do Kizi.)

Któregoż z nas pani kocha?

Kizia.

I pana i pana.

Edward (*do Koci.*)

A pani?

Kocia.

I pana i pana.

Wilhelm (*do Edwarda.*)

Słyszysz jestem twoim współnikiem.

Edward.

A ja twoim!

Wilhelm.

Jednak gdzie jest spółka tam najczęściej bywa upadłość.

Edward.

Jeżeli kto upadnie, to pewno nie my.

Wilhelm.

Masz słuszność.

Scena 2-ga.

Ciż i Chiffon.

Chiffon (*wbiega, goście na nią zwracają uwagę*)

Chiffon.

Nie ma tu ten galgan aptekarz! On mnie oszukał. Powiedział że mnie koka, że się ze mną ożeni, wyprowadził mnie z dworzec i uciekł odemnie. Szukam go, żeby mu powiedzieć, że jest klupi, że ja go nie kce. Al co ja wize? Mademoiselle Kizia et mademoiselle Kocia!

Kizia i Kocia.

Panna Chiffon! Panna Chiffon!

Wilhelm.

Licho ją tutaj wniosło!

Edward.

Słyszałeś, na cały głos wrzeszczała, że Kazimierz ją porzucił. A niegodziwiec! — nie mógł chociaż do do jutra zawracać jej głowy.

(przez ten czas Kizia i Kocia rozmawiają po cichu z Chiffon.)

Kizia i Kocia.

Tak! papa zginął i mama zginęła.

Chiffon.

So ja slysze, zginęła papa i mama, Allons, chodźmy, trzeba ich szukać. — *(chce uprowadzić Kizię i Kocię.)*

Wilhelm.

O zapozwoleniem. Myśmy zobowiązali się dopomódz tym paniom w poszukiwaniu.

Edward.

Za wiele już straciliśmy czasu, żeby nie osiągnąć celu.

Chiffon.

Jaki sel, so za sel? Ja nic nie slucham. Kizia i Kocia, allons.

Wilhelm *(do Kizi i Koci.)*

A bal w Tivoli?

Kizia.

Prawda, bal! Panno Chiffon nie pójdziemy z tobą.

Kocia.

Jeżeli pani chcesz, to zostań z nami.

Podróż po Warszawie.

Kizia

Musimy być na balu.

Kocia.

Koniecznicie być musimy!

Chiffon (*do Wilhelma i Edwarda*).

So to jest! So to za buntowanie mlode panzy? Ja pójdę pójść zawolać policja, będę robić gwaltu.

Edward (*uspokajając ją z dziewczętami*).

Ależ uspokój się pani.

Kizia.

Panno Chiffon kochana!

Kocia.

Droga panno Chiffon!

Scena 3-cia.

Ciz i Józo.

Józo (*wbiega*).

Wilhelm.

Przybywasz w samą porę! Ratuj nas, ratuj! Patrz, wszystko nam szło jak po mydle, a ten cymbał Kazimierz porzucił guwernantkę—ta przybiegłszy szukać go do Doliny, spostrzegła panny i chce je ztąd uprowadzić lub wezwać na pomoc policji.

Józo.

A to glupie interesa! Muie na Saska Kępa tak-że nie bardzo przyjemna przyjemnoszcz spotkała. Jak ja z pan Bibuła i z Marysia i z twój ojsiec jeździł na karuzel, wpadła ta wściekła żona pan Bibuła i narobiła wielki krzyk, że mąż się bawi. Ona go zatrzymała w drodze, jak jechał na karuzel, dała jemu coś na gębe, twemu ojciec stłu-

kła porcelanową fajkę, a złapawszy kufel piwa z przed pan Gotlieb rzuciła w mój kapelusz, aż un spadnął na ziemię, a Marysi urwała cały ogon, bo ją widać poznała.

Wilhelm.

A to okropność!

Józ.

Wściekle babe, powiadam tobie, wściekle babe! Pau Bibuła uciekł przed nią ja nie wiem gdzie, Marysia także przepadła, twój ojciec kazał dać na zmartwienie zwaj kufel bier, a ja... a ja także z od wagą uczełem i pszichodzę na Dolinę.

(orkiestra grać przestaje).

Wilhelm.

Skoro ty tu przyszedłeś, skoro jesteś bez żadnej dziewczyny, zawróć głowę kochliwej guwernantce, a może się od nas odczepi.

Józ.

Zawróćciez jej głowę — ja do tego w sam raz. — Czekaj, ja jej wyszpiewam moje uczucze.

Chiffon *(do dziewcząt).*

Allons! Allons! ja powiadam, że trzeba iść.

Józ.

Jakto? Fani chce odchodzić? A ja szukam panią po cała Warszawa, bo ja wiząc panią na dworzec, bardzo w niej się zakochał.

Chiffon.

So? on we mnie koka! Ach! ty drogi pan! Co ty kce odemnie?

Józ.

Ja czebie pani będę wyraził moje uczucze.

(orkiestra gra mandolinatę).

*Mandolinata.***Józio.**

O moje piękne dame! ja bardzo kocham ciebie!

Az tracę głów,

Az w serca rów

Mnie gorzka gorycz grzebie.

Ach! tak zachwyca Józia

Twoja szliczna buża,

Że zrób mi raj,

Tej buzi daj,

Daj buzi daj!

Aj! waj!

Ty masz w twej osobie

Tak słodki kształt,

Że aż gwałt.

Ja czy zrobię

Przyjemny czas

Niejeden raz.

Premjowa ty pożyczko! rato ukochana!

Bi proszicz cze

O serce twe,

Paszcz będę na kolana!

Ach tak zachwyca Józia

Twoja szliczna buża,

Że zrób mi raj

Tej buzi daj

Daj buzi daj,

Aj! waj!

Chiffon (*uszcześliwiona całuje w czoło klęczącego Józia.*)

Ach! masz ty!... masz ty całus mój Alinaviva!

Edward (*który patrzył w kulisę za odchodzącymi gośćmi do Wilhelma i do Józia.*)

Ach! jesteśmy zgubieni, Fafuła tu idzie!

(*Orkiestra zaczyna grać co innego.*)

Wilhelm.

Co tu robić! Józku ratuj!

Józko.

Ja ich zawsze muszę ratować. Jeżeli panie chcą widzieć fajerwerki, to niech się panie udadzą w tamtą stronę ogrodu.

Chiffon.

Pójdę, pójdę, tylko mnie kokaj.

(wybiega z Kizią i Kocią).

Edward.

Oj! już nąchodzi!

Scena 4-ta.

Ciż i Fafuła.

Fafuła *(do Józki).*

A niech licho porwie tę moją żonę! to mnie poczęstowała—ledwie zdążyłem uciec. A i pan jesteś tutaj. Toś mnie pan ładnie wykierował.

Józko.

Ja pana wykierował?

Fafuła.

A po coś mi pan kazał jeździć na tej maszynie. Widać ta maszyna nie podoba się żonom. Przez pana musiałem z Kępy i uciekać. Co ja miałem strachu!

Józko.

A żona?

Fafuła.

Żona? A bo ja wiem co się z nią stało! Już jej mam dosyć. Dotąd byłem jej posłusznym, siedziałem pod pantoflem, ale kiedy bierze się do bicia—

nie chcę jej znać! Nie będę szukał córek, niech sobie sama szuka. Od tej chwili chcę się bawić! Nie po to przyjechałem do Warszawy żebym płakał.

Józó.

To pan masz rozum! I kto pana tego nauczył?

Fafuła.

Przewoźnik z łódki w której płynąłem. Gdy mu opowiedziałem moje zmartwienie, rzekł: — Palicho babę! Ja dla mojej także byłem uległy, ale gdy sobie za dużo pozwałała, przytarłem jej rogów. Baw się pan, hulaj, drwij z niej, a będziesz szczęśliwy.

Józó.

A to mądry człowiek!

Fafuła.

Przybyłem najprzód bawić się do Doliny—bo na szczęście znalazłem dorożkę, która mię tu podwiozła! Hej! nie macie tu kobiet? Chcę tańczyć, chcę się bawić, ja jej pokażę co to mąż! Tak mówił przewoźnik, że trzeba jej pokazać!

Józó.

Tak, trzeba jej pokazać.

Fafuła.

Hej! muzyka graj! No, nie ma tu ładnych kobiet?

Józó.

Bądź pan spokojny, będziesz je miał. Zaraz tu przyjdą.

Fafuła.

W to mi graj. Przynajmniej pohulam sobie po obywatelsku. No muzyka, grać mówię!

(Orkiestra gra).

ŚPIEW.

*M a z u r.***Fafuła.**

Obywatel ziemskich włości,
 Chcąc pozyskać trochę sławy,
 Musi użyć przyjemności,
 Gdy przyjedzie do Warszawy.
 Tu Stępkowski ma piwnice,
 Więc pić trzeba dobre wina,
 Tutaj różne są panny,
 Z niemi hulać rzecz jedyna.
 Pal tam licho żonę, dzieci!
 Pragnę hulać sercem całym,
 Na hulanki grosz niech leci,
 Gdy żydowi las sprzedałem.
 Hej muzyka, graj od ucha,
 Bom ci przecie nie pohaniec,
 I gdy trafi się dziewczucha,
 To z nią rażno pójdę w taniec.

Scena 5-ta.

**Ciż, Fajtlapła, Fisu, Fiuslutka i inne.
 szwaczki.**

Józ.

Achl otóż nasze prześliczne piękności!

Fafuła.

Żadne dziewczęta jak szanują cnotę, zaprezentuj że mnie pan zaprezentuj.

Józ.

Pozwólcie panie zaprezentować sobie: Pan Bi-
 buła bogaty dziedzic od wsiów, co sobie chce w
 Warszawie zabawicz.

(szwaczki się kłaniają).

Józio.

A to różne panny.

Fafuła.

Jakto różne panny?

Józio.

A no różne gatunek—ja zapomniał ich godność.

Fafuła.

A ta pierwsza to śliczna bestyjka, czy ja bym nie mógł z nią się pobawić.

Józio.

Rób pan wszystko co pan tylko zechcesz — możesz pan na głowie stawać za swoje pieniądze.

Fafuła.

E! na głowie bym nie ustał, ona przecie tego nie wymaga. Ja chcę tylko pohulać.

Józio.

No to hulaj pan sobie kiedy się panu podoba. Wsiądź pan z nią w dorożkę i przejedź się w aleje, potem jedź na kolację do pana Bocqueta. Potem ja tam przyjadę i zaprowadzę pana do którego teatryk, żeby zobaczyć ładna aktorka.

Fafuła.

A wiesz pan co? to dobra myśl!... kwituję z Dolidy. (*do jednej z kobiet*). Moja panno, jestem głodny—jadę na kolację—może mi zechcesz towarzyszyć.

Kobieta.

Chętnie, chętnie, lubię takich dudków!

Józo.

A co? jaki ja mam spryt! Pozbyłem się go z wielką prędkością.

Scena 5-ta.

Józo, Kicia, Kocia, Chiffon, Wilhelm, Edward i cały Chór.

(Podczas gdy orkiestra gra czardasza z Meluzyny w ogrodzie widać fajerwerk).

Chór garsonów i gości.

Czardas.

Ach to świetny blask!

Ach to huk i trzask!

Piękne fajerwerki zachwycają nas

I mogą swym blaskiem wzruszyć nawet głaz.

Hej! hej! czardaszu brzmij radośnie brzmij,

Fajerwerku wij się rażno wij!

Ach Dolino żyj nam wiecznie żyj!

Ach! to świetny blask!

Ach to huk i trzask!

Piękne fajerwerki zachwycają nas

I mogą swym blaskiem wzruszyć nawet głaz.

Baw się żwawo

O Warszawo,

Hulaj każdy jakby jaki graf,

Ach tak, wlewo i w prawo

Baw się baw Warszawo,

Baw się wiecznie baw,

Ach baw się baw!

(Na scenie z końcem finału zapalają bengalskie ognie — fajerwerk najświetniejszy — kurtyna spada.)

Koniec obrazu czwartego.

OBRAZ V-ty.

W teatrzyku ogródkowym.

Scena przedstawia ulicę. Na froncie sceny może być kamienna ławka. Przy orkiestrze, na ścianie podczas rozpoczęcia tego obrazu należy przyklepić wielki afisz z napisem: Dzisiaj dane będzie widowisko p. t. „Typy Warszawskie“, po skończeniu obrazu afisz ten należy zdjąć.

Scena 1-sza.

Z podniesieniem kurtyny, na scenie wielki ruch. Spacerują po niej różne typy Warszawskie a mianowicie wielcy panowie, podupadli panowie, eleganci, kokotki, dorożkarze, handlarze, piaskarze w głębi przejeżdża węglarz. Stare panny, szlifierze z wózkami, bodlotki, dewotki, kwiaciarki, studenci i inne sobistości.

Odgłosy Warszawskie.

Chór.

Dziś Warszawa ciągle wzrasta,
Jest w niej ruch i szum,

Przez ulice tego miasta
 Wielki płynie tłum.
 Tutaj złotem, szykiem, sławą,
 Głupstwo można kryć—
 Hej! Warszavo hej Warszavo!
 W tobie słodko żyć.

Handlarz.

Handel! handel! handel!
 Bez pomoców dziś naszego
 Szyk nie mają modne panky.

Piaskarze.

Piasku białego wiślanego!

Słomiankarz.

Słomianki! słomianki!

Handlarz,

Handel! handel! handel!
 Kto nie umie dziś handlować,
 Ten kieszenie nie ma cenne.

Druciarze.

Garnki drutować! garnki drutować!

Węglarze.

Węgłe kamiennel! węgłe kamiennel!

Handlarz.

Handel! handel! handel!
 Kupię różne stare graty,
 Kupię różne ruchomości.

Wekslarze.

Pożyczke na raty!
 Pożyczke na raty!

Galganiarze.

Kości! kości!

Galganiarki.

Kości! kości!

Cały chór.

Handel! handel! handel! handel!

Handel! handel! handel!

Dziś Warszawa ciągle wzrasta,

Jest w niej ruch i szum,

Przez ulice tego miasta

Wielki płynie tłum.

Tutaj złotem, szykiem, sławą,

Głupstwo można kryć,

Hej Warszawo, hej Warszawo!

W tobie słodko żyć.

(Muzyka po skończeniu chóru gra bezustannie cały motyw chórowy pianissimo — chór bezustannie spaceruje po scenie spotyka się i rozmawia. Nabywanie, sprzedawanie).

Scena 2-ga.

(Chór na scenie.—Fafuła i Józó wchodzą do krzeseł teatralnych).

Woźny teatralny i Ktoś z publiczności.

Woźny.

Ale nie ma już biletów, nie ma biletów!

Fafuła.

Co to jest niema biletów!

Józó.

Co to niema bilet!

Woźny.

Wszystkie miejsca rozprzedane proszę pana.

Fafuła.

Co mi tam gadasz! Ja muszę być w teatrze i cała rzecz.

Józ.

Tak mi musimy biec w teatrze, pan Fafuła chce sze zakochać w ładna aktorka.

Fafuła.

A naturalnie.

Ktoś z publiczności.

Cicho tam! nieprzeszkadzać!

Fafuła.

Co to cicho!

Józ.

Co to nieprzeszkadzać!

Fafuła.

Ja chcę być w teatrze i koniec!

Józ.

Kiedyś pan dostał bilet, to możesz pan szedzicz cicho.

Fafuła.

A my nie możemy być cicho, bo nie mamy biletów. Widzicie go, jaki mądry!

Ktoś z publiczności.

Cicho ty stary niedołęgo!

Fafuła.

Proszę się niezapominać mój panie. Ja nie jestem niedołęga, ale Fafuła z Wolego Ogoną.

Ktoś z publiczności.

No dobrze! dobrze! Proszę siadać!

Drugi głos.

Szadacz! szadacz!

Józó (do publiczności).

Szanowna publiczność niech przebaczy, co my robimy taki hałas, ale pan Fafuła koniecznie chce zobaczyć ładne aktorki.

Fafuła.

No ty panie woźny, dawaj miejsce.

Woźny.

To chyba panowie wsiądą tutaj na krzesłach przystawionych.

Józó.

No dobrze, dobrze.

Fafuła.

A co tu dziś grają?

Józó.

Bardzo wesołe widowisko p. t. „Typy warszawskie.“

Ktoś z publiczności.

No siadać, siadać i nieprzeszkadzać.

Józó.

No, już siedziemy cicho. Panie Bibuła, a ma pan lornetkę, bo trzeba dobrze oglądać aktorki.

Fafuła.

Mam w kieszeni niebieskie okulary, to wszystko jedno, czekaj założę na nos.—(zakłada na nos konserwy).

Józ.

No teraz przyglądajmy sobie.

Fafuła.

Cóż to za naród włóczy się po tym moście?

Józ.

To nie po moście tylko po scenie; tam chodzą aktorzy przebrane za warszawiaków.

Fafuła.

Patrz no, patrz! jaka ta bestyjka ładna, o tam na prawo!

Józ.

Ona ma dobry róż, ale ona się nie chce z nikim zobaczyć.

Fafuła.

Tak?

Józ.

Tu są bardzo przyzwoite aktorki.

Fafuła.

Tem lepiej dla nich.

Scena 3-ia.

Ciż i Lekarz.

Z tłumy wysuwa się lekarz młody i elegancki i śpiewa na scenie.

ŚPIEW.

Lekarz (na scenie).

Pewnie o tem wszyscy wiecie,
Ze dość sławy mam,
Bo najmilej dziś na świecie
Być lekarzem dam.

Za najlepsze mi reklamy
 Zawsze starczy to,
 Kiedy piękne leczą damy,
 Chociaż zdrowe są.
 Bo w tem właśnie sztuka cała,
 To dla kobiet fest,
 By nauka ból widziała,
 Tam gdzie zdrowie jest.

Fafuła.

A to ci sprytny doktor!

Józó.

So, on ma spryt!

Lekarz (*spiew*).

Że się lubią pieścić panie,
 Z tem mi nie jest źle,
 Bo na każde zawołanie
 Lekarz pieści je.
 Czego tylko która żąda,
 Robi on na gwałt,
 Puls wybada, poogląda
 Język, cerę, kształt.
 Jeśli, jak ja jest człowiekiem
 Co chcę w górę wzrość
 Takim zawsze służy lekiem
 Co skutkuje dość!

Fafuła.

Brawo! brawo! panie doktor!

Józó.

Brawo! brawo!

Lekarz (*spiew*).

Jego widok, jego mowa,
 Tak skuteczne są,

Że jest każda zaraz zdrowa,
 Gdy zobaczy go.
 Mnie się żadna nie zawstydzi,
 Każda ufa mi;
 Mąż choć patrzy, nic nie widzi
 I spokojnie śpi.
 Jeśli inną się zachwycę,
 Tę com leczył wprzód,
 Kosztem męża za granicę
 Zaraz ślę do wód.

Fafuła.

A! niech go lichy porwie, jaki mądry!

Józ.

On bardzo jest mądry! brawo!

Lekarz *(śpiew)*.

Każę spędzać czas swobodnie,
 Każę paniom tyć,
 A że leczę je tak modnie,
 Mogę wielkim być.
 Przez to mam renomę w mieście,
 Pochwał słyszę głoś,
 Przez to nieźle sobie wreszcie
 Już nabiłem trzos.
 Wszędzie jestem pożądanym,
 Wszystkie mówią wciąż:
 To nasz doktor ukochany!
 To genialny mąż!
 Lecz gdy serjo która chora,
 Wówczas drżąc jak liść,
 Do innego jej doktora
 Radzę spiesznie iść.

(kłania się i wybiega ze sceny).

Fafuła, Józo.

Brawo! brawo! brawe! brawo!

Fafuła.

Panie doktor! panie doktor! a ile pan bierzesz za wizytę? Proszę o adres, bo w razie choroby, to mi się przyda.

Józo (*do Fafuły*).

Ale da pan pokój! da pan pokój! to przecze aktor!

Fafuła.

Pal go kat! Ale patrz! jakiś drugi wyłazi.

Scena 4-ta.

Ciż i Emeryt.

Emeryt (*pochylony, z laską w rękę, bez zębów, wychodzi na front sceny z gazetą pod pachą i mówi starym głosem*).

Dzień dobry, dzień dobry.

Fafuła.

Zkądże dzień dobry? To przecie wieczór. Dobry wieczór.

Józo.

Ależ nie gadaj pan do niego, to także aktor, co gra emeryta.

Fafuła.

A! emeryta! Posłuchajmy co nam powie.

Emeryt (*śpiew*).

Wysłużyłem lat czterdzieści,
To nie żart,
Zapisałem różnej treści
Wiele kart.

Oj! niejeden mi referat
 Klinem był,
 Lecz robiłem go rad nie rad
 Z całych sił.

Fafuła.

A to dobrze, widać żeś pracowity człowiek.

Józio.

Nie gadaj pan, nie gadaj pan.

Emeryt (*śpiew*).

Co to panie młódź dzisiejsza
 Naszych biur!...

Sama sobie pracę zmniejsza,
 Nie tknie piór.

Ale za to za dziewczyną
 Hajże ha!

Hulatykę, bilard, wino,
 W głowach ma.

A kto zdrowie z dobrym bytem
 Niszczy sam,

Ten nie będzie emerytem
 Ręczę wam.

Fafuła.

Ma słuszność, dalibóg!

Józio.

So, ma recht.

Emeryt (*śpiew*).

Oj! istotnie, dawni ludzie
 Godni chwał;

Choć pracował każdy w trudzie,
 Zdrowie miał.

Nim mu jęła magnifika
 Słodzić dnie,

Tylko w córkach naczelnika
 Kochał się.
 W tańcu kręcił je ze sprytem
 Tu i tam,
 Więc mógł zostać emerytem
 Z łaski dam.

Fafuła

O tak! damska protekcja wiele znaczy.

Józó.

Nie przeszkadzaj pan.

Emeryt (*śpiew*).

Cóż mi braknie po wysłudze
 Długich lat?
 Choć świat mówi, że go nudzę,
 Pal go kat!

Niż postępu głupie blaski
 Woląc cień,
 Wydeptuję Ogród Saski
 Cały dzień.

Jestem zawsze tam ze świtem
 I nie sam,
 Bo się z każdym emerytem
 Dobrze znam.

Fafuła.

A no, to przynajmniej ma towarzystwo.

Józó.

A i pan przecież musisz mieć towarzystwo.

Fafuła.

Jakie?

Józó.

Kredytowe.

Fafula.

No słuchajmy, słuchajmy, bo emeryt patrzy się
na nas ze złością.

Emeryt (*śpiew*).

Tam nam zwykle polityka
Mili czas;
W tabakierkę przy niej psztyka
Każdy z nas.
I wciąż mówi, przy gawędzie
Laską brzdęk:
Będzie wojna czy nie będzie?
W tem jest sęk!
Lecz sęk drugi, głowy przytem
Męczy nam:
Czy też będzie emerytem
Bismark sam.

Fafula.

A cóż mnie do tego!

Józo.

Cicho pan bądź.

Emeryt (*śpiew*).

A gdy dziewczę zkąd wyskoczy
Wdzięków kwiat,
Emerytów za nią oczy
Biegną w ślad,
Lecz przed niemi dziewczę zmyka
Co ma sił,
Choć człek córkom naczelnika
Miłym był.
Dziś nie będąc faworytem
Ładnych dam,
Że źle jest być emerytem
Czuję sam!...
(*kaszląc odchodzi*).

Fafuła.

Masz pan słuszność, to pewnie wielka niewygodą.

Józio.

Patrz pan teraz na ten podłotek z mamą.

Scena 5-ta,

Podłotek (*wchodzi z mamą pretensjonalnie wystrojoną*).

Podłotek (*śpiew*).

Mamo to mnie oburza
I drwią wszystkie panienki,
Że choć jestem tak duża,
Noszę krótkie sukienki.
Lat piętnaście mam przecie,
Bo mkną lata pręciutko,
A w tym wieku kobiecie
Trudno stroić się krótko.
Każdy powie to samo,
To jest bardzo złym tonem;
Do Lewity pójdz mamó,
Ja chcę sukni z ogonem!

Matka.

Nie będziesz miała, nie będziesz miała.

Fafuła.

Mama ma słuszność panienko, bo tylko zwierzęta mają ogony.

Podłotek.

Siedź pan cicho, kiedy panu dobrze.

Fafuła.

A niech ją licha! skonfundowała mnie publicznie.

Józo.

A to pan nie gadaj tak dużo.

Podlotek (*śpiew*).

Moja mamó dziś rzadko
 Pannę w wieku mym zoczę,
 By czesała się gładko,
 Lub spuszczała warkocze.
 Gładko czeszą się dzieci,
 Ja dzieciństwem nie grzeszę,
 I to we mnie gniew nieci,
 Że mnie mama tak czesze.
 To do szczęścia mi tamą,
 Bo nie jestem już płocha;
 Nie chesz gładko mnie mamó,
 Ja chcę koka od Koča.

Fafuła.

Panie Józu, co to za jeden ten kok co się odko-
 cha i w kim on jest zakochany.

Józo.

El nie rozumiesz pan! Kok to taki instrument
 z konopi i ze szczeciny na damska głowa.

Podlotek (*mówi*).

Tak mamó, ja chcę koka od Koča.

Matka.

Cóż to sobie myślisz? cóż to będziesz mi tu na-
 rzucała swoją wolę? taka mała dziewczyna jak ty,
 nie może nosić koka.

Podlotek (*śpiew*).

Patrzcie państwo, no proszę!
 Mama robi hałasy!
 Cóż ja winnam że noszę
 Takie nizkie obcasy?

One winne żem mała,
 One winne bezsprzecznie,
 Po cóż mama kazała
 Nizkie robić koniecznie?
 To mej sławy jest tamą,
 To niegodnie świat mam; i
 U Zaremby mi mam
 Kup buciki z korkami.

Fafula (do Józka).

A cóż to, czy to ona butelka, że się chce korkować?

Józko.

Pan nie znasz Warszawy.—W Warszawie nie tylko butelki sze korkują.

Podłotek (śpiw).

Pan Bronisław! ach Boże!
 To mi chłopiec uroczy!
 Takie ruchy ma hoże,
 Takie ładne ma oczy.
 Ale nigdy grymaśnie
 Spojrzeć na mnie nie raczy
 I dla tego to właśnie
 Chcę wyglądać inaczej.
 Ani myślę znać troski,
 Lic nie chronić od kurzu;
 Mam tam jest Śniechowski,
 Ja chcę pudru i różu.

Fafula.

A to ci bachor w pretensji!

Józko.

W Warszawie i bachory są w pretensji.

Fafula.

Daj jej mam różu, ale brzożowego!

Podłotek (mówi).

Mamo, słyszy mama, ja chcę pudru i różu!

Matka.

Dziewczyno, nie doprowadzaj mnie do passji, bo źle z tobą będzie!

Podłotek (*śpiew*).

Czegoż mama się złości
I mnie sprawia katusze?
Gdy chce każdy miłości,
Ja ją także znać muszę.
Chciej gniew mamę ukoić,
Bo go nikt się nie boi,
Czemuż nie mam się stroić,
Kiedy mama się stroi?
Mnie potrzebna ta zmiana,
Bo już nie mam trzech latek,
Wreszcie mamę kochana
Córki biorą wzór z matek.

(*Matka ją goni—córka ucieka*).

Fafuła.

A to ci jej prawdę powiedziała.

Józó.

Tak powiedziała prawdę, bo dziś jaje są mędrsze od kury.

Scena 6-ta.

Stara panna (*wchodzi z trzema pieskami*).

Fafuła.

A to co za stary grat z pieskami?

Józó.

To stara panna.

Fafuła.

Mogłabyś też panna siedzieć w domu i nie przestraszać swoim widokiem uczciwych ludzi.

Stara panna

Cicho pan siedź! Nie zaczepiaj pan spokojnej kobiety! Widzicie go! zuchwalec!

Fafuła.

Nie kompromituj mnie panna w obec warszawskiej publiczności, bo spalę się ze wstydu.

Józ.

Da pan pokój! to przecież nie prawdziwa panna.

Stara panna (*śpiew*).

Oh! minęły latka młode,
 Pierzchnął pcciech rój,
 Miałam powab i urodę,
 A dziś... Boże mój!...
 Mam twarz zwiędłą, ból od kolek,
 Brak smaku i snu;
 Hejże Bijou! Miniusz! Żolek!
 Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafuła.

A czegoż ona chce od tych psów?

Józ.

A bo ja wiem!

Stara panna (*śpiew*).

Chłopcy zwali mnie królową,
 Hołdy nieśli mi,
 I na jedno moje słowo
 Nawet w ogień szli.
 Dziś mnie nie zna nawet Olek,
 Co kochał za stu;
 Hejże Bijou! Miniusz! Żolek!
 Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafuła.

Masz ich przecież panna przy sobie i czego wrzeszczysz?

Józo.

Co sobie ma żałować, nie przeszkadzaj pan.

Stara panna (*śpiew*).

Jeśli który chciał mej ręki,
Byłam zimny głaz,
I mówiłam—Składam dzięki,
Bo mam jeszcze czas.—
Lecz mi słusznie odparł Bolek,
Czas biegnie co tchul
Hejże Bijou! Miniusz! Żolek!
Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafuła

Hej! psy! przybliżcie się do niej, bo będzie do jutra wrzeszczała.

Józo.

Daj pan pokój. — Pies przecież nie rozumie, to głupie bydło.

Stara panna (*śpiew*).

Czując uczuć łzę młodzieńczą
W tamym albo w tym,
Wciąż mówiłam:—Niech się dręczą,
Zdrowiej będzie im.—
Legł przezemnie Jaś, Karolek,
Wśród wiecznego snu;
Hejże Bijou! Miniusz! Żolek!
Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafuła.

No, dosyć już, dosyć!

Stara panna.

Choć mówiły starsze panie:
Strzeż się starych lic,—
Jednak lubiąc oczkowanie,
Nie zważałam nic

I dziś wołam pośród kolek:
 Żegnaj ślubny dniu!
 Hejże Bijou! Miniuś! Żolek!
 Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafula.

Masz panna kolki?—to idź do doktora, przecież
 tu był dopiero.

Józ.

To nie doktor, to artysta. Już sze pewnie rozebrał
 z doktora.

Stara panna.

Z ócz mi krwawe płyną łezki,
 Bo po szczęścia śnie
 Tylko drogie moje pieski
 Pocieszają mnie.
 Gdy je kopnie brat Karolek,
 Śmierci życzę mu;
 Hejże Bijou! Miniuś! Żolek!
 Pójdźcie, pójdźcie tu!

Fafula.

A to mściwa jędza—śmierci bratu życzy.

Józ.

Przecież to tylko tak na żarty! to jest komedja.

Stara panna.

Oj ten brat mój nie wart hetki,
 Nieraz mówi w głos:
 Wierz mi siostrze, że kokietki
 Twój znajdują los.

Gdy drwi z dawnych mych swawolek,
 Z żalu pragnę snu;
 Dzieci: Bijou! Miniuś! Żolek!
 Spać, spać pójdźcie tu!

(odchodzi z pieskami).

Fafuła.

No, nareszcie poszła sobie spać. To mnie wymęczyła swoim gadaniem. Stara ci panie a do tego brzydka jak upiór. Prawda szanowna publiko, że mam rację.

Józó.

Ja sam nie lubię panny z brzydka i stara buża.

Scena 7-ma.

Podupadły pan *(wchodzi).*

Fafuła.

A to co za jegomość?

Józó.

To podupadły pan.

Fafuła.

Jak on podobny do jednego z moich sąsiadów, co to brykał, brykał i przebrykał. Ale nie przeszkadzajmy mu, słuchajmy uważnie, bo przecie szlachcic powinien mieć respekt dla szlachcica.

Józó.

Tak, my szlachta, powinniśmy szanować swoje kamraty.

Fafula.

Czy i ty szlacheć?

Józo.

Wsistko może bicz.—Ale słuchajmy.

Podupadły pan (*spiew*).

Niegdyś miałem wioski, cugi,
 Złota pełen trzos,
 I przed światem, jak nikt drugi
 Zadzierałem nos.
 Lecz fortuna jest zdradziecka,
 Więc znikł szczęścia czas;
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Niegdyś z mojej portmonetki
 Tył sprzedawca win —
 I fruwały rubli setki
 Do niegreckich Fryn.
 A dziś każda ta niegrecka
 Istny dla mnie głąz;
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Czy w Paryżu, czy to w Baden,
 W nozy—czy wśród dnia,
 Tak nie hulał Nabab żaden
 Jak hulałem ja.
 Lecz hulanka ta zbójecka
 Zjadła wioski, las!
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Kiedym puszczał wciąż rubelki,
 Brnąc w roskoszy toń,
 Mieszczuch minł za zaszczyt wielki,
 Gdym mu ścisnął dłoń.

Teraz ze mnie jakby z dziecka
 Drwi nie jeden raz;
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Gdy szła za mnie moja żona,
 Miała wiosek sześć,
 A dziś z dziećmi z głodu kona —
 I mnie chce się jeść.
 Sytszy piaskarz jest z zapiecka,
 Bo ma mięsa zraz—
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Mówią ludzie:—Gdy ci bieda
 I gdy chcesz być syt,
 Proś o pracę choćby żyda,
 A polepszysz byt.
 Ja pracować?... Pan od dziecka!..
 Pracować?—mille graces!
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Lecz gdy lichwiarz mi pazury
 Wcisnął w każdy fałd,
 Z musu do literatury,
 Wziąłem się na gwałt.
 Ale kto źle piórem pecka,
 Dlań wydawca gład;
 O mój herbie, krwi szlachecka,
 Dziś nie cenią was.

Niegdyś, każdy rasę ceniąc
 Panu czołem bił,
 A dziś wszyscy tylko pieniądz,
 Czczą ze wszystkich sił.
 Górą zdolność jest kupiecka,
 Co ma za nic nas;

O mój herbie, krwi szlachecka,
Wasz przeminął czas.

(odchodzi).

Fafuła.

Sąsiedzie—bracie—łzy mi z oczu wyciskasz!—
Czekaj, nieodchodź—pójdziemy do handelkul—Nie
słyszysz mnie. Biedny człowieczysko.

Józ.

A po co tak rozrzucał pieniądze?

Fafuła.

E mój panie, czy ty rozumiesz potrzeby obywa-
telskie. Nasze stanowisko wymaga, żeby nie żało-
wać pieniędzy na przyjemności dla siebie.

Scena 8-ma.

Piwowar *(wchodzi).*

Piwowar.

Jestem sobie piwowar,
Człek otyły, aż gwałtu!
Nie mam głowy od kształtu,
Bo ma pokup mój towar.
„U Rezlera,“ pod „Gwiazdą“
Każdy piwosz ma gniazdo
I tam wlewa do pałki
Dziennie po trzy antalki.
U Wilkansa, Kajnera,
Dość piwoszów się zbiera
I choć ciężka to kara,
Ciągłe smolą bawara.
Ja się cieszę ich rojem.
Bo mam pieniądz i sławę,
Tym niemieckim napojem.
Zalewając Warszawę.

Jestem sobie piwowar,
 Nie znam co to złe czasy,
 Okazały mam browar,
 A w browarze zapasy.
 Piwo robić wciąż każę,
 Niech je pije kto łaknie;
 Nigdy w moim browarze
 Tej mikstury nie zbraknie.
 Nie jednego piwosza
 Ludzi wskaże wam chmara,
 Co się zniszczył do grosza,
 Ciągłe smoląc bawara.
 A ja sobie, jak wiecie,
 Zawsze jeżdżę w karecie,
 Robiąc bardzo szczęśliwie
 Interesa na piwie.

Fafuła.

Panie piwowar! panie piwowar! Powiedz mi, co to znaczy, że ty jesteś coraz grubszy, a kufle coraz mniejsze?

(piwowar odchodzi).

Scena 9-ta.

Ciż i Demimondówka.

Demimondówka *(wchodzi).*

Fafuła.

Ale patrzno! To śliczna kobieta! Cóż to za jedna?

Józ.

To sobie dama z Revue de deux mondes. Ona będzie grała rolę piękne Helena.

Fafuła.

A! ta to mi się podobała! To mi przynajmniej ko-
 Podróż po Warszawie.

bieta! Muszę się z nią zapoznać. Tylko szkoda, że przez te okulary wszystko wydaje mi się niebiesko.

Józ.

Ta dama nic niebieskiego w sobie nie ma.

Demimondówka (*śpiew.*)

Ja jestem piękna Helena,
Lecz nie z greckich dróg;
Mnie dzisiaj zna każda scena
I Warszawski bruk.
Obywatel kieszeń czyści,
Mnie serdecznie rad,
Nawet i kantorzyści,
Ach! przezemnie kantorzyści
Wyjeżdżają w świat.

Józ.

Co ona takie głupstwa śpiewa? ja jeszcze nie wyjechałem.

Fafuła.

Żadna kobieta, jak honor kocham; warto dla niej stracić głowę.

Józ.

I kieszeń.

Demimondówka (*śpiew.*)

Ach! żebym na stare latka
Założyła sklep,
Wciąż muszę ssać do ostatka,
Gdy się trafi kiep.
A więc póki służy wena,
Wzruszam nawet głaz!
Ja jestem piękna Helena,
Ach! ja jestem ta Helena,
Co rujnuje was.

Fafuła.

Brawo! brawo! brawo! brawo! to mi się podobał
to mi zuch kobieta.

Fafuła i Józo.

Brawo, brawo, brawo!

*(Podczas tej sceny orkiestra gra do końca.—
Fafuła rozochocony wbiega na scenę przez orkie-
strę—za nim Józo przestraszony, biegnie zatrzy-
mując go.—Na scenie Fafuła tańczy z aktorką
grającą rolę pięknej Heleny. — Ogólne zamieszanie.—Kurtyna spada).*

Koniec obrazu piątego.

OBRAZ VI^{-ty}.

Na Starem-Mieście.

Scena przedstawia Stare Miasto w Warszawie. Na rogach szynki - na scenie rzędami kryte stragany, w środku straganów basen wodotryskowy, w środku bassenu syrena.—Pod szynkami grają katarynki. — Na scenie przekupki, pijani szewcy, służące z koszykami, chłopci, chłopki, szewckie chłopaki, stróże z miotłami, kupujący, etc.

Scena 1-sza.

Z podniesieniem zastony, na scenie tłum otacza szewckiego chłopaka, który śpiewa przy akompaniamencie katarynek. Chłopca powinna grać kobieta.

Chłopak szewcki (śpiew).

Ledwie z niebios przestrzeni
Świt zabłyśnie rumiany,
Mury domów rozcieni
I rozjaśni stragany.
A już panie przekupki
Groźne wielką swą zgrają,
Tworząc kupy i kupki,
Z wozów towar chwytają.

A gdy w werwie handlowej
 Da znak która swej mocy:
 Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku pomocy!

Chłopak.

A gdy słońce w lazurze
 Światła rzuci potoki,
 Gdy miotłami już stróże
 Kończą czyścić rynsztoki,
 Jeden z drugim sznapsiku
 Wychyliwszy na chętkę,
 Na flizowym chodniku
 Toczą miłą gawędkę.
 Nagle, gdy się łącz słowy,
 Walą w buzię jak z procy:
 Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chłopak.

Terminator bez grosza
 Tnąc piętami hołubce,
 Ze straganu, lub z kosza
 Świsnął bułkę przekupce.
 Lecz przekupki nie trusie,
 Więc wołają nieczule:
 Ach ty mucu! morusie!
 Będziesz siedział w cyrkule!

Poznasz zemstę Janowej,
 Ty potomku sierocy!
 Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chłopak.

Przed szyneczkiem babula
 Udziudziana okrutnie,
 Tak się czasem rozhula,
 Taką śpiewkę ci utnie,
 Że lud, który tam natrze
 Kolą kolki pod serce,
 Więc jak gdyby w teatrze
 Bije poklask tancerce!
 A gdy czując brak mowy,
 Padnie babka bez mocy:
 Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Chłopak.

Szewc, pan majster z Dunaja,
 W niepomiernym nałogu
 Gdy się nazbyt upaja
 U Szapsiowej na rogu,
 Wrzeszczy żona splakana:
 Kpiel nie zajmiesz się pracą?
 Od wieczora do rana
 W szynku siedzisz ladaco!

I gdy da mu dość zdrowy
Objaw swojej przemocy:
Hej stójkowy! stójkowy!
Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
Hej ratunku! pomocy!

Chłopak.

Gdy noc powie: a kuku!
Gdy się skończą te guzy,
Hałasują po bruku
Podchmieleni łobuzy.
I tak: czy dzień umiła,
Czy noc miasto pokrywa,
Cyrkułowi co chwila
Lokatorów przybywa.
Lecz po karze surowej
Znowu słyhać w dzień, w nocy:
Hej stójkowy! stójkowy!
Hej ratunku! pomocy!

Chór.

Hej stójkowy! stójkowy!
Hej ratunku! pomocy!

(Podczas każdej strofy chłopca, wychodzą na front sceny osobistości, o których śpiewa.—Katarynki przez cały obraz mogą grać inny motyw, jeżeli to nie będzie przeszkadzało artystom).

Przekupka.

A to ci psi synek, jaką nam wyciął piosneczkę.

Chłopak.

Cicho babulu, bo się pokłócimy.

Przekupka.

Ja ci się pokłóczę, jak złapię drapaki.

Chłopak.

Nie zaczynaj ino stara czarownico, nie zaczynaj, bo ja z kuźdym klócić się potrafię.

Przekupka.

Widzisz go! ja ci tu dam stara czarownico! Masz szczęście, że ktoś przyszedł do mnie po zieleninę.

Chłopak (do drugiej przekupki).

No matulu, pokłóćmy się.

Przekupka (siedząc).

Daj mi tam pokój, moje dziecko! gdzie jabym się tam potrafiła klócić.

Chłopak.

Nie chcesz stara miotło? Więc powiem ci szkaradny babsztylu, że jesteś starym pantoflem!

Przekupka.

A ty szewcki synu! a ty mucu! ja ci tu dam zaraz! Ja cię nauczę ty wisusiel ty łobuziel ty ciągniskóro.—(goni za chłopakiem, chłopiec pokazuje jej marchewkę).

Chłopak.

A co, widzicie, żeśmy się pokłócili! Tak stało się, jak ja chciałem, musieliście się pokłócić, musieli.—(ucieka, w tej chwili wchodzi Pafcio i Gapcio—goniąca chłopca przekupka zamiast jego, uderza Pafcia i Gapcia po twarzy nacią od długiej marchwi).

Scena 2-ga.

Pafcio, Gapcio, Tlum.

Pafcio i Gapcio (chwytając się za twarz—z płaczem).

Oj! oj! oj! oj! oj!

Przekupka.

Dobrze wam tak! nie wściecie w drogę porządnym ludziom!

Pafcio (*trzymając się za twarz*).

Przepraszamy panią najmocniej!

Gapcio.

Przepraszamy.

Przekupka.

A no tak, to co innego. Widać, że znacie się na grzeczności. Nie guiewam się, nie gniewam.— (*odchodzi do straganu*).

Gapcio.

Nas boli, a ona się za to na nas nie gniewa.

Pafcio.

A cóż chcesz? żeby się jeszcze gniewała? Lepiej niech się nie gniewa, gdyżby nas gorzej bolało.

Gapcio.

Prawda, mogłaby jeszcze raz poczęstować nas marchwią. Doprawdy ja nie myślałem, że ludzie w tej Warszawie tak są gościnni. Pomożemy tu przyjechali?

Pafcio.

Za Kizią i Kocią.

Gapcio.

Ach prawda, za Kizią i Kocią!

Pafcio.

Ale cóż nam z tego, kiedy one zginęły.

Gapcio.

I nas za to wsadzono do kozy.

Pafcio.

Nie martw się już kozą—skoro uwierzono naszemu tłumaczeniu i wypuszczono nas na wolność.

Gapcio.

Tak! aleśmy tam nocowali, jak pijaki lub złodzieje.

Pafcio.

Mniejsza o to—nie potrzebowaliśmy płacić za lokal w hotelu. Ale gdzie my jesteśmy?

Gapcio.

Trzeba się kogo zapytać.

Pafcio.

Masz słusność! — *(pyta przechodzącego szewca pijanego).*

Pafcio.

Przepraszam szanownego pana, gdzie my jesteśmy?

Szewc.

A to gamonie! pytają gdzie są! A przecież w Warszawie! w Warszawie, na Starem-Mieście.

Gapcio.

Niech się pan nie gniewa, bo my nie tutejsi i dopiero wypuszczono nas z kozy, gdzie nas wsadził nasz przysły teść, pan Fafuła.

Pafcio *(trącając go).*

Cicho!

Szewc.

Dobrze zrobił! dobrze zrobił! gdyby tak wszyscy

ojcowie z zięciami robili, pewnie ich córki były by szczęśliwsze. Hej! katarynka graj, bo pan majster chce potańczyć. Dalej babko w taniec.—(*Idzie do szynku, a chwyciwszy w pobliżu babę i tańcząc z nią śpiewa*):

Szynkareczko szpagatówki!
Bo mam dzisiaj dość gotówki!
Ma tu szynczek pani Szapsia,
Chodź babulu, chodź na sznapsial

(*Ten śpiew idzie na nutę: Kominiarczyk stan milutki*).

Gapcio.

To jakiś warjat!

Pafcio.

Warjat, czy nie warjat, ale nam powiedział, że jesteśmy w Starem-Mieście.

Gapcio.

I cóż tu będziemy robili?

Pafcio.

Tutaj nic—ale pójdziemy szukać Kizi i Koci!

Gapcio.

A jak znajdziemy państwa Fafulów, to oni znów nas wsadzą do kozy. Ale patrzaj, patrzaj, co to za kobieta z ogonem.—(*pokazuje na Syrenę*).

Pafcio.

To pewnie Warszawianka—przecież czytałeś na wsi, że Warszawianki chodzą z ogonami.

Gapcio.

A to je pewnie wypędzają także na paszę w okolicę miasta.

Pafcio.

Ale cóż znowu! Przecież możesz poznać po tej jednej co tam siedzi, że to nie jałówki, tylko ryby.

Gapcio.

Bodaj to Kizia i Kocia, to mi przynajmniej kobiety. Bardzo dowcipne i zgrabne. Ach! gdybyśmy zostali ich mężami!

Pafcio.

Patrzno! patrzno! widzisz kto tu idzie, widzisz? Grześ i Szmul! a z nimi jakaś kobieta. Patrz—poznajesz tę twarz, to Marysia! Marysia! Ach! jesteśmy ocaleni! ona przyrzekła nam dopomódz.

Gapcio.

Prawda, prawda. Ale jaka wystrojona! fu! fu!

Scena 3-cia.

Ciż Marysia, Grześ, Szmul.

Pafcio.

Ach! Marysiu! z kąd ty się tutaj zjawiłaś? przybywaj! przybywaj! patrz, co za nieszczęście! Kizia i Kocia zginęły. Pan Fafuła wsadził nas do kozy.

Marysia.

Do kozy! a to mamy szczęście! Toć i mnie wpakowano do kozy.

Gapcio.

I ciebie?

Pafcio.

Za co? kto? mów!

Gapcio.

Niechże się dowiemy.

Marysia.

SPIEW.

Przyjemności dosyć mam!
 Niż Warszawę wołę wieś,
 Niżli strojów cały kram
 Stokroć miłszy dla mnie Grześ.
 Choć twarz jego dosyć brzydka
 I układność nie staranna,
 Lecz przenoszę go nad żydka,
 Bo nie jestem miejska panna.

Niech tam lichy porwie szyk,
 Ogon, korki, kok i róż;
 Szyk pogardy nieci krzyk,
 Szyk niejedną zgubił już.
 Niech se panien ginie po sto,
 By mieć tylko modne stroje,
 Ja sukienkę wołę prosta,
 Bo kupiłam ją za swoje.

Dziś zepsucie takie jest,
 Aż się w oku kręci ła,
 Za brylanty i za fest
 Panna w mieście honor da,
 Lecz gdy sobie hula wściekle,
 Nie pomyśli so pewnikiem,
 Że ją będą djabli w piekle
 Szmarzyć w smole razem z szykiem.

Wszystko panom lepiej opowiem. Kiedy przyjechaliśmy z państwem do kolei, czepiło się nas

kilku młodych i sykownych warszawiaków. Jeden z nich psia wiara podobny na żydka, skusił mnie, żeby się z nim zabawić. Co mi to szkodzi—myślę sobie—od czegóż Warszawa, jeżeli nie od zabawy. Kilka dni pobulam i przynajmniej pomartwię trochę Grzesia.

Grześ.

A widzisz, jaka ty niegodziwa!

Marysia.

Poszłam z kolei z tym żydkiem—on mi kupił tę modną suknię. Kazał mi głowę ubrać po warszawsku i pojechał ze mną na Saską Kępe. Tam przyjechał mój pan, ale mnie nie poznał, bo mu ten żydek powiedział, że ja jestem lalka z porcelany. Mój pan chcąc prędko do zgubionych panien dojechać, wsiadł na takie okrągłe koło, co się kręci, a wsiadł razem ze mną, z moim żydkiem i jakimś niemcem i zaczął się w koło kręcić. Na to wpadła tam moja pani. Jak nas zobaczyła, dalejże bić co jej tylko siły starczyło. Nie wiem, co się stało z panem, ale to wiem, że ten modny żydek porzucił mnie ze strachu. Na dobitkę pani, kiedym uciekała, oberwała mi ogon. Uciekłam co prawda, ale wpadłam z deszczu pod rynnę, bo, kiedy pokażałam się w Warszawie, jakiś policjant zobaczywszy mnie w takim stroju, powiedział, że jestem nic warta, że tak nie wolno chodzić po ulicach i zaprowadził mnie na noc do kozy. Gdy tam weszłam, o mało nie krzyknęłam z podziwu, bo w tej kozie siedział Szmul i Grześ.

Pafcio.

A oni tam za co siedzieli?

Symul.

A ten głupi chłop pokłócił się ze mną na ulicy o pieniądze i za to poszliśmy doić kozę. Oj! oj! oj! żeby chociaż ta koza dawała mleko.

Grześ.

To tyś się ze mną pokłócił.

Pafcio.

No i cóż dalej?

Gapcio.

Cóż dalej?

Marysia.

Nic nam nie dali. Ale siedząc w kozie i myśląc o tem, co się stało, wymyśliłam taką rzecz, że ten żydek, co mnie chciał zabawić, umówił się widać ze swemi koleżkami, co byli na kolei i na to nas usunęli, żeby wykraść panny.

Pafcio.

Ach! być może, być może! Prawda, przypominam sobie, oni i nam iść kazali tam gdzieś daleko po kolei szukać Kizi i Keci, a gdy poszedłszy daremnie z wiorstę drogi, wróciliśmy napowrót do tej dużej sali, gdzie się schodzą wszyscy ludzie, już ich tam niebyło, a Kizia i Kocia były skradzione.

Gapcio.

A to się dopiero zawstydzi pani Fafułowa, że nas kazała aresztować. Tak nie lubię tej baby, że jak pomyślę o jej wstydzie, kontent jestem, że siedziałem w kozie.

Pafcio.

Ale przedewszystkiem trzeba ją wynaleźć.

Marysia.

Koniecznie trzeba ich wynaleźć. Pójdziemy wszyscy szukać, bo przecież Szmul zna dobrze Warszawę i ja znam trochę, a kiedy znajdziemy państwa, opowiemy im nasze domysły.

Pafcio.

Marysiu, w tobie cała nasza nadzieja, ty wiesz jak kochamy Kizię i Kocię, i sędzę, że skoro nam przyrzekłaś dopomódz do małżeństwa, to nam d-pomożesz.

Marysia.

Dopomogę, dopomogę, ale z kimże was teraz ożenię, kiedy panien nie ma?

Grześ.

No to ty ożeń się ze mną, a będzie wszystko jedno.

Szmul.

Jeżeli chcecie wziąć ślub, a nie znacie Warszawy, to ja was będę zaprowadził do bóżnicy.

Scena 4-ta,

Ciż i Józo, Wilhelm i Edward.

(Słychać śpiew Józa za sceną — motyw z Saskiej Kępy).

Niech szwiat pozna serce moje,
Z każdej zrobię dame git;
Dziś dziewczynę w modne stroje
Może ubrać tylko żyd.

Słyszycie?

Marysia.

Co?

Wszyscy.

To on!

Marysia.

Kto?

Wszyscy.

Mój żydek.

Marysia.

Więc cóż?

Wilhelm.

Marysia (*patrząc w kulisy*).

Idzie tutaj z dwoma swemi koleżkami, co byli na kolei. A to szczęśliwe spotkanie. Prędkiej, prędkiej, ukryjmy się wszyscy między temi straganami, a może się co dowiemy z ich rozmowy.

Wszyscy.

Dobrze, dobrze, ukryjmy się!

Marysia.

Sami nam w ręce wleźli.

(*Ukrywają się między straganami*).

Józ (*wchodzi*).

No, moi kochani dobrze, że was spotkałem. Potrzeba już raz skończyć z tem żenieniem, bo mnie się już przykrzy bawić ten pan Bibuła. Ja przez niego już trzy razy miałem awanturę. O Saskiej Kępie już wam mówiłem w Dolinie, a w teatrzyk ogródkowy on wpadł na scenę i miałem nieprzyjemnoszcz. A gdzie spały jego córki?

Wilhelm.

One spały tu w Starem-Mieście u Fifiny. Właśnie idziemy po nie, żeby się jeszcze z nimi zabawić.

Edward.

Ja myślę, że już dosyć są do nas przywiązane, bo nie płakały, gdyśmy je z Doliny uprowadzili.

Józ.

No, to już one was kochają, więc trzeba teraz oddać je pan Fafuła, a on wdzięczny, że wy odprawdzili mu córki, będzie je z wami ożenić.

Wilhelm.

A jak nie zechce?

Józ.

Co to nie zechce, ja jemu każę, a potem on prawie to przyrzekł, jak się jemu twój ojciec oświadczył na Kępie.

Wilhelm.

Więc mój ojciec się oświadczył?

Józ.

On mi mówił, co ty sam tego chciałeś.

Wilhelm.

A więc wiwat! zwycięstwo! rzecz skończona!

Józ.

Nie, jeszcze nie skończone, ale wieczor może bicz skończone. Co ja wam powiem: Uproszony przez pana Fafułę, zamówiłem na dzisiaj bal maskowy w Tivoli jak sze skończy widowisko teatral-

ne. Ja napisałem zapraszające listy do wszystkich moich znajomych panien, żeby one tam były w maskach, a wi zaproście Fifinę, Fajtłapkę i ich przyjaciółki. Pan Bibuła będzie tam przyjść ze mną, więc i wy przyjdźcie z jego córkami, a interes się załatwi. Żegnam was! Do słodkiego widzenia w Tivoli!

Wilhelm, Edward.

Bądź zdrów, bądź zdrów poczciwy kolego!

Wilhelm.

A teraz spieszmy do naszych posażnych gąsek.

(Józio odchodzi jedną stroną sceny, Wilhelm i Edward drugą).

Scena 5-ta.

Marysia, Pafcio, Gapcio, Szmul.

Grześ.

Marysia *(wchodząc).*

Słyszeliście?

Wszyscy.

Słyszeliśmy.

Marysia.

Moje domysły były prawdziwe.

Wszyscy.

Prawda, prawdziwe!

Marysia.

Oni skradli panny!

Wszyscy.

Oni!

Marysia.

To traf szczęśliwy, że się tu nawinęli. Przynajmniej wiemy, gdzie się mamy udać.

Pafcio, Gapcio.

Gdzie? gdzie?

Marysia.

Jacyście panowie niedomyślni!... Wieczorem do Tivoli.

Wszyscy.

Do Tivoli! do Tivoli!

(W czasie tej rozmowy tłum staromiejski otacza Marysię z ciekawością i z uśmiechem).

Pierwsza Przekupka.

Patrzcie! ino! patrzcie ino! co to za jakaś lafirynda. Jaki ci panie szyk!

Druga Przekupka.

Cóż to? taka jakaś tam sobie będzie tu włąziła pomiędzy stragany.

Trzecia Przekupka.

I jeszcze z mężczyznami.

Pierwsza Przekupka.

Aresztować ich!

Druga Przekupka.

Hej! stójkowy! stójkowy!

Marysia.

Co to jest, czego panie od nas chcecie?

Pafcio, Gapcio.

Oj! oj! znów nas wezmą do kozy.

Czwarta Przekupka.

Dajta im pokój, niech sobie idą.

Piąta Przekupka.

Idź panna idź, nie czekaj, aż przyjdzie stójkowy.

Inne Przekupki.

Dajcie pokój, dajcie pokój, czego chcecie od spokojnych ludzi.

1-sza, 2-ga, 3-cia Przekupka.

Co to dajcie pokój! a wam co do tego! A wy obronicielki złodziei! a wy straganiarskie worki!

Marysia, Pafcio, Gapcio, Szmul i Grześ znajdują się w środku kłócących się przekupek).

Przekupki (broniące).

A cóż my gorszego od was! wy kartoflane obie-rzyny.

Wszystkie Przekupki.

Ty ropucho! ty smocza duszo! Masz! masz!

(Rzucają na siebie włoszczyznę; w tem miejscu orkiestra zaczyna grać z katarzynkami).

Chłopcy szewckie.

Dalej! dobrze ją! jeszcze raz!

*(Przekupki rzucają na siebie włoszczyznę, która przebiega ponad głowami Marysi i jej towarzyszy-
szów).*

Pafcio, Gapcio.

Oj! oj! zabiją nas! A to są przyjemności warszawskie!

Szum.

Aj! waj! nie rzucaj ty djabelska babo!

Marysia.

Dalej! uciekajmy! Grześ, rób nam drogę! bij! wal, tłucz!

Przekupki *(rzucają na siebie włoszczyznę).*

Masz! masz! ja ci pokażę! ja cię nauczę! masz! masz!

(Wielki ruch na scenie—włoszczyzna biega po powietrzu—w głębi pijani szewcy i baby, chłopaki szewckie śmieją się, lub tańczą. Przekupki wymyślając sobie, walczą. Marysia i jej towarzysze uciekają. Bitwa trwa aż do zapadnięcia kurtyny).

! Motyw pierwszy obrazu 6-go.

Chór.

Towar ludziom na głowy
 Leci tutaj jak z procy;
bis. (Hej stójkowy! stójkowy!
 Hej ratunku! pomocy!

Zastona spada.

Koniec obrazu szóstego.

Uwaga: Chłopców szewckich grają kobiety — za przepki przebrani są mężczyźni.

OBRAZ VII^{my}.

Na balu w Tivoli.

Scena przedstawia salony w Tivoli—po bokach krzesła i stoliki nakryte, przy stolikach siedzą kupczyki, kantorzyści, kobiety zamaskowane, w głębi Miller i Gotleb. Kilka par tańczy polkę. Mężczyźni we frakach — kobiety w kostjumach, w dominach i sukniach ogoniastych.

Scena 1-sza.

Chór (*Polka Clicquot*).

Komuż obce bale są w Tivoli
Co wznecają krzyk,
Tutaj życie płynie wśród swawoli,
Tu jest humor szyk,
Nie jeden młody smyk.
Gdy już tu nahula się do woli,
Za granicę myk!
Tu lubią ludzie szyku
Gośćmi być,
Hulać żyć
I szampana pić.
W Tivoli na baliku
Stając w rząd—
W tańca prąd
Leci nasz demi—monde.

Tu róż udaje wrzącą krew,
 Tu wabi młódź czerniona brew,
 Tu dźwięczy taki śpiew:
bis (Kliko, kliko, la la la la la la,
 (Kliko, kliko, la la la la la la.
 Tu lubią ludzie szyku
 Gośćmi być,
 Hulać żyć
 I szampa na pić.
 W Tivoli na baliku
 Stając w rząd —
 W tańca prąd
 Leci nasz demi—monde
 Tu tańczy hula nasz demi monde.

(Z końcem polki wołają osoby tańczące):

Walca! walca! orkiestra walca!

(Orkiestra gra walca — przez pewien czas goście tańczą. Po skończeniu walca goście się przechadzają lub siadają przy stolikach. Orkiestra przechodzi z walca w motyw śpiewany niżej przez Józę).

Scena 2-ga.

Józ *(w balowym stroju wbiega głębią w susach tanecznych; cylinder na spuszczonej w tył głowy na sposób kanonistów francuzkich. Wielkie palce od rąk trzyma w rękawach kaniżelki. Frak na piersiach szeroko rozrzucony. Dobiegłszy na front sceny, śpiewa).*

Choć szwiat na to czasem szwista
 Żem żid,
 Jestem sobie kantorzysta
 Ganz git.

Brzmi w ogródkach przy teatrze
 Mój głos —
 I aktorkom słodko patrzę
 W sam nos.
 Gdy chcę z którą, czując grosze,
 Mieć raj,
 Na szampana ją zaproszę,
 Aj waj!

Gdy z nią różne zjem frykasy
 Jak nic,
 Na dorożkę pierwszej klasy
 Kic, kic!
 I z tą duszką, co sze szmieje
 Jak maj,
 Jeżdże sobie na aleje
 Aj waj!
 Zkąd na zbytki biorę złoto,
 Cyt, cyt,
 Niech nie pyta nigdy o to
 Goj, żyd.
 Bo gdyby kto robił krzyki,
 Z mój raj
 Uciekłbym do Ameryki
 Aj! waj!

(Po śpiewie Józka głosy za sceną).

Kankan! kankan! grać kankana!

Józko.

Ach! goszcze już się bawią w tamtych salonach; zaczynają tańczyć kankana. Ten bal będzie mnie kosztował ciężkie pieniądze. Ale, gdzie mi się podział pan Bibuła? On tu przyszedł razem ze mną. Ach! on pewnie w pierwszej sali robi zalecanie do jakiej ładnej dziewczyny. O! to gorący dziad. Jak go zobaczyłem na kolei, niespodziewałem się po

nim taka energia! Hej! panie Bibuła — przepraszam panie Fafuła! chodź pan tu, tu są ładniejsze maski! Ja pana będę przedstawić.

Fafuła (za sceną).

Są ładniejsze? gdzie? — gdzie — pokaż — gdzie one! Dla ładnej kobiety gotów jestem oszaleć. (*Wbiega głębią na scenę w lansudach. Frak na piersi mocno rozrzucony, kapelusz nabakier, mina hulaka.*)

Józ (do gości).

Za pozwoleniem państwo! będę wam przedstawić mój przyjaciel bardzo bogaty człowiek! On może naraz postawić dziesięć koszy szampana!

Fafuła.

Postawię, słowo honoru daję postawię! wszakże sprzedałem las.

(*Kobiety zaczynają się mizdrzyć do Fafuły.*)

Józ.

A pan pozwól sobie sprezentować moje przyjaciółki, wszystkie bardzo poważne osoby.

Fafuła (z wielkiem szacunkiem całuje kilka kobiet).

Moje uszanowanie pani dobrodziejce. Całuję rączki szanownej pani. — Zaszczyt, który mnie spotyka pozostanie dla mnie najmiłszem wspomnieniem.

Jedna z kobiet.

Jaki on grzeczny.

Druga kobieta.

Ja nic nie rozumiem co on mówi; to dla mnie za mądre.

Trzecia.

Ot zwyczajnie frajer,—można go naciągnąć.

Fafuła

A teraz kiedyśmy się poznajomili, możeby warto potańczyć.

Józ.

Dobrze! Kontredans z fantastyczne figury!

(Stają do tańca. Gdy Fafuła już wziął tancerkę, do której się słodko wdzieczy, wchodzi głębią Ka. zimierz, Edward prowadzi Kizię i Kocię, obaj we frakach, one w białych sukniach).

Scena 3-cia.

Ciż, Wilhelm, Edward, Kizia i Kocia.

Wilhelm.

Jesteśmy! jesteśmy!

Edward.

Czekajcie i my stojemy do tańca.

Kizia i Kocia. *(spozrzęglszy ojca).*

Ah! papa! papa!—*(biegną do niego).*

Kobiety.

Co? jego córki!

Fafuła.

A wyżkąd się tu wzięły? A was tu po co licho wniosło! Jakto? uciekacie od rodziców, i hulacie po balach w Tivoli—a to mi panny!

Kizia.

A i papa hula także w Tivoli.

Fafuła.

Prawda papa hula także w Tivoli, ale niespodziewałem się znaleźć tutaj córek.

Józó.

Daj pan pokój, nie ró b pan hałas. Tu nie jeden porządny ojciec znalazłby swoją córkę. A wreszcie zaraz się pan dowiesz, po co one tu przyszły. Hej! panie Miller, pójdź pan tu przypominać panu Bibuła słowo honoru, co ci dał na Saska Kępa.

Miller.

So, so, ja będę panu przypomnieć to słowo. Pan powiedział jak mój syn znajdzie jego córki, to on dostanie jedną za żonę.

Edward.

A ja drugą.

Wilhelm.

Tak, ja jedną, a on drugą. Bo kiedy nam mój ojciec powiedział, jaka nas czeka nagroda, zajęliśmy się zaraz poszukiwaniem pańskich córek inasze poszukiwania uwieńczone zostały pomyslnym skutkiem.

Fafuła.

To wyście je znaleźli?

Józó.

Oni, jak szanuję te maski.

Fafuła.

Więc cóż ja mam teraz zrobić?

Józó, Miller, Wilhelm, Edward.

Dotrzymać słowa.

Fafuła.

A jeżeli one nie zechcą wyjść za tych panów?

Józó.

Co to nie zechcą? One już są w nich zakochane.

Wilhelm i Edward.

Tak, są w nas zakochane.

Fafuła.

Kizia, Kocia, czy istotnie jesteście w tych panach zakochane?

Kizia i Kocia.

A bo my wiemy.

Józ.

To skromność, to skromność! zaraz znać panny dobrze wichowane—nie powiedzą otwarcie czego im się chce, tylko pragną żeby się ludzie sami domyślili.

Fafuła.

A czy chcecie wyjść za tych panów?

Kizia.

My nie wiemy, co to jest małżeństwo, więc nam wszystko jedno.

Józ.

Co się pan pyta. Połóż im pan ręce na głowie i będzie koniec.

Fafuła.

A co powie na to moja żona?

Józ.

Jakto, jeszcze pan chcesz siedzieć pod pantoflem? a pamiętasz pan co panu mówił przewoźnik?

Fafuła.

Prawda, dalibóg prawda. Co? ja mam stosować się do woli mojej żony i to jeszcze żony, która mnie bije?

Józ.

A więc?

Fafuła

A więc ryzykuję. Hej ty paniel! jak się tam nazywasz, masz Kizię.

Edward.

Jakie szczęście!

Wilhelm (*do Edwarda*).

Udało się! Dostaniemy pewno po 50,000 rubli posagu.

Edward.

Możeby z nim o tem pomówić?...

Wilhelm.

Jakto? chcesz sobie popsuć interes. Pomówimy z nim o tem przed samym ślubem.

Fafuła.

No, a teraz kiedy was połączyłem, pozwólcie mi się bawić. Już się dzisiaj dość napłakałem. Hej! do tańca! do tańca!

Józ.

Dalej gracz kontredans z figurami!

Wszyscy.

Kontredans! kontredans!

Kizia.

My nie chcemy kontredansa, my wolimy mazura.

Wilhelm, Edward.

A więc mazura, mazura!

Wszyscy.

Mazura!

Józ.

Ale mazura od pana Lewandowskiego z tytułem:
„Ty żałuj coś nie buł.

Fafuła.

No, dalej córki! Pokażcie Warszawiakom, co wy umiecie, tylko nie całować się z narzeczonymi.—
(*do swej tancerki, całując ją*) Oh! ty moja czarowna pani!

Józ.

En avant!

(*tańczą*).

Scena 6-ta.

**Ciż, Kunegunda, Chiffon, Marysia, Grześ,
Szmul, Pafcio i Gapcio.**

Marysia, Pafcio Gapcio (*wchodzą*).

Są tutaj, są tutaj!

Kunegunda.

Gdzie? gdzie? Ah! mam go nareszcie! On tańczy niegodziwiec? I moje córki takżel!

Marysia.

A tak, mówiłam pani, że tu panny znajdziemy. Jak to dobrze, żeśmy się z panią spotkali!

Kunegunda.

A ty stary niedołęgo! ty biboszu! od żony uciekasz, a tutaj tańczysz z jakimiś maskami i psujesz własne córki.

Fafuła (*przestraszony*).

Ależ moja duszko, jak cię Kocham! to nie prawda!... to plotki!

Kunegunda.

Jakto nie prawda! Wszakże widzę na własne oczy. Patrzcie, co to się zrobiło z takiej trusi! Spotkałam wypadkiem Marysię i naszych sąsiadów; oni mi wszystko opowiedzieli. Wiedziałam, że tu jesteś.

Józio.

Ale po co robisz taki hałas?

Kunegunda.

Jakto! poco robić taki hałas? I pan się śmiesz jeszcze odzywać, pan, który dopomogłeś tym panom do wykradzenia moich córek?

Fafuła.

Co? on dopomógł do wykradzenia? co ja słyszę!

Kunegunda.

Ah! poznajesz teraz że byłeś cymbałem. Pozwoliłeś się za nos wodzić temu elegantowi. Hulasz z nim, jakby jaki młokos.

Marysia.

A tak, ja to zaraz pani mówiłam.

Kizia.

Niech się mama nie gniewa na papę, bo papa już nas wydał za mąż.

Kunegunda.

Co?

Pafcio i Gapeo.

Za mąż?

Kocia.

Przecież mama mówiła na wsi, że po to jedziemy do Warszawy.

Kunegunda.

I za kogo, za kogo was wydał?

Wilhelm (*wskazując na siebie i na Edwarda*).

My to jesteśmy tymi szczęśliwcami.

Kunegunda.

Wy! poznaję was! byliście z tamtym elegantem na kolei. Marysiu! wszakże to oni wykradli panny?

Marysia.

Oni proszę pani, oni! Słyszałam jak o tem mówili na Starem-Mieście. Ja przez ich przyjaciela siedziałam niewinnie w kozie.

Pafcio i Gapcio.

I myśmy siedzieli w kozie.

Gapcio.

Ale nie przez nich, tylko przez mamę i papę.

Kunegunda:

Biedne chłopcy! Posadziłam ich o taką zbrodnię!

Pafcio.

A tak, wzięła nas pani za złodzici.

Kunegunda.

Ah! czuję, czuję moją winę—i przykrość, jaką wam zrobiłam, powetuję sownie. Kizia! Kocia! oto wasi mężowie.

Fafuła.

Pafciu! Gapciu! bierzcie Kizię i Kocie! nie dajcie ich sobie odbić.

Pafcio (*biorąc Kizię do Wilhelma*).

Pan nie odbijesz Kizi.

Gapcio.

A pan Koci.

Wilhelm, Edward.

Co to jest? Jakiem prawem odbieracie nam nasze żony? Pan Fafuła zgodził się na to małżeństwo.

Fafuła.

Ale teraz się nie zgadzam, bo widzę, że ze mnie zadrwiono.

Józio (na str.)

Jaki mądry. Jak mu powiedzieli, to dopiero się domyślił, że go wziąłem na kawał.

Kunegunda.

Ale muszę was uprzedzić Pafciu i Gapcin, że moje córki nie mają żadnego posagu.

Pafcio.

To nic nie szkodzi.

Gapcio.

My i tak kontenci.

Wilhelm.

Co? nie mają posagu? i myśmy tyle zabiegów czynili, tyle pieniędzy wydali!

Miller.

Ja ciebie odrazu mówił, żebyś ty się żenił z córką mój przyjaciel Gotlieb.

Wilhelm.

A naturalnie, że teraz się z nią ożenię.

Edward.

A ja urządzę nowe polowanie.

Józio.

Ale ja tobie pomagacz nie będę, bo mnie już pan Bibuła grubo kosztował.

Fafuła

Dla czego ty mnie nazywasz Bibułą? dla czego? Przez ciebie naraziłem się żonie i jeszcze w dodatku przekreślasz moje poczciwe nazwisko. Przebacż kochana Kundziu, przebacż! Ciężko zawiniłem, ale się jeszcze ciężiej poprawię.

Józó.

Znowu wlezie pod pantofel. Szczęśliwej podróży!

Fafuła.

Dokąd?

Józó.

Pod pantofel.

Fafuła.

Przebacż Kundziu.

Kunegunda.

No, no, przebaczam.

Grześ (do Marysi).

A co będzie z nami Marysiu?

Marysia.

To się łatwo domyślić. Zrobimy weselisko i ba-
sta.

Grześ.

O moja złocista!

Szumł.

A co ja na tem zarobię?

Fafuła.

Zarobisz jak postarasz mi się o pieniądze, bo już wszystko co miałem rozleciało się licho wie gdzie w tej przeklętej Warszawie.

Maski.

E! golec!

Chiffon.

Oh ta Varsovie! Tu gorsze mlode czlowiek niż na wieś. Ja będę wrócić do Paryża.

Józo.

No, ale chociaż państwo się gniewacze, to nie-przeszkadza, żeby się zabawicz; ja napróżno nie zamawiał balu.

Pafcio, Kizia, Kocia, Gapcio.

Mamo, mamo, zabawmy się.

Kunegunda.

A cóż mam z wami robić! tak jestem szczęśliwa ze znalezienia was moje córki, że aż mnie ochota bierze zakosztować warszawskiego życia.

Fafuła.

Więc dalej, w taniec!

Chiffon.

To i ja będę tańczyła, ale nie chcę z młody człowiek, wolę ze Szmulem.

Józo.

Galopada!

Wszyscy.

Galopada!

Józo.

En avant!

(wszyscy tańczą galopadę).

Józo *(śpiew).*

Niech nikogo to nie dziwi,
 Żem ja zrobił złe porządki,
 Kantorzyści są uczciwi,
 Lecz są także i wyjątki.
 Ja wyjątkiem, wiecie sami,
 Bo mnie ciągnie coś do złego,
 I z zacnymi kolegami
 Nie mam wcale nic wspólnego.

Marysia *(śpiew).*

Wolę w stroju chodzić sługi,
 Czy to na wsi, czy to w mieście,

Bo kok wielki, ogon długi,
 Nie przystoi cnej niewieście.
 Strój ten zrzucę jak najprędzej—
 Niechaj noszą to odzienie
 Panny, które dla pieniędzy
 Zaprzędają swe sumienie.

Fafula (*śpiew*).

Smutno to w obywatelu
 Widzieć wielki głupstwa nawał,
 Ale takich jest niewielu
 Co się dają brać na kawał.
 Gdy drugi raz moją grzędę
 Rzucę dla was—wierzcie prawie,
 Że już wówczas lepiej będę
 Podróżował po Warszawie.

(*Galopada do końca.—Kurtyna spada*).

K o n i e c .



ND. 723



I. 464 v

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0723



400000000150958